

Cartland Barbara

Wezwanie z północy



Schylił głowę i jego wargi spoczęły na jej ustach. Przez chwilę wydawało jej się, że to nieprawda. Potem całe ciało zaczęła przenikać ekstaza. Tak żywa, tak nasyciona, że wydawała się błyskawicą. Zupełnie jakby ofiarował jej blask słońca i nad wrzosowiskami poprowadził do nieba. Objął ją mocno ramionami i przygarnął do siebie. Arina poczuła, że po wszystkich przejściach znalazła się nagle w niebie i wielkim bólem byłaby konieczność opuszczenia go. Takiego nieba zawsze pragnęła. Taką była miłość, ...

ROZDZIAŁ 1

1803

Dochodziło już południe, a lord Alistair McDonon jadł dopiero śniadanie. W jego środowisku nie było to niczym nadzwyczajnym. Poprzedniego wieczoru był najpierw na kolacji, którą w Carlton House wydawał książę Walii, potem z paroma znajomymi na ostatnim Dance Hall, gdzie obejrzeć można było najpiękniejsze i najbardziej ponętne rozpustnice w Londynie. Jakby tego było mało, zakończył wieczór wraz z przyjaciółmi w bardzo drogim „Domu Rozkoszy” w Haymarket i teraz żałował, że wypił zbyt dużo francuskiego wina.

W zasadzie był to jego zwykły wieczór, który dopiero następnego ranka zbierał swoje żniwo. Teraz lekceważącym machnięciem ręki zareagował na półmisek doskonale przyrządzonej nerkówki z grzybami, który przyniósł mu służący. Zdecydował się na tosta i łyk brandy.

Nie myślał jednak o suchości w ustach ani o obolałej głowie, lecz o wdziękach lady Beverley. Na stole obok leżał pachnący liścik, w którym pisała, że pragnie go widzieć u siebie o czwartej po południu.

List był raczej rozkazem aniżeli życzeniem, co nie dziwiło u piękności, która zdobywała szturmem każdego najbardziej krytycznego przedstawiciela wyższych sfer. Wdowa po właścicielu wielkich dóbr ziemskich z północnej Anglii przybyła do Londynu w rok po jego śmierci z towarzyszącą jej starszą ciotką pełniącą rolę przyzwoitki. Nieposzlakowana reputacja i błękitna krew sprawiły, że lady Beverley przyjmowano w domach najbardziej pruderyjnych dam.

Nowa twarz zawsze ekscytowała towarzystwo od czasu, gdy księżę Walii uległ urokowi ponętnej aktorki, pani Robinson, a wielki świat zafascynowany był Georgianą, księżną Devonshire.

Jednak wszystkie kobiety przyćmiła piękność z wielką dziedziczną schedą, Olive Beverley. Najpierw wśród członków klubów St. James, a potem w opinii wszystkich dżentelmenów, stała się „niezrównana”.

Z czarnymi iskrzącymi oczami, połyskliwymi kruczoczarnymi włosami, aksamitną cerą i rysami, którymi wedle lorda Byrona dorównywała greckim boginiom, była z pewnością rozkoszna. Nawet najbardziej wybredni mężczyźni składali serca u jej stóp i choć lord Alistair nie znośił być jednym z wielu, też uległ wreszcie jej urokowi.

Być może właśnie dlatego, że trudniej go było ujarzmić, lady Beverley uśmiechała się do niego wytrwale. Wkrótce nie tylko drzwi jej domu, lecz i ramiona pięknej pani były dla niego otwarte.

Wytworny, uważany trochę za dandysa, lord Alistair był jednak człowiekiem inteligentnym. Doskonale zdawał sobie sprawę, że swój związek miłosny z Olive Beverley musi utrzymywać w tajemnicy, szczególnie przed niepoprawnymi plotkarzami. Jako trzeci syn szkockiego naczelnika klanu nie miał szansy na sukcesję książęcą, a wiedział, że Olive mierzy wysoko. Książę Torchester towarzyszył jej w operze, markiz Harrowby, jeden z najbogatszych posiadaczy ziemskich w Anglii, zabierał na przejażdżki do parku. Jednak to lord Alistair był dla niej porywającym kochankiem, a wzajemną namiętność podsyciała jeszcze ścisła tajemnica ich spotkań. Niezwykłe było, że tym razem Olive zapraszała go w dzień. Pociągnął brandy i jeszcze raz przeczytał jej liścik, zastanawiając się, co też ma mu do zakomunikowania. Miał niemiłe wrażenie, że usłyszy, iż Torchester lub Harrowby wypowiedzieli wreszcie owe magiczne słowa, na które bardzo czekała. Bał się, że Olive wychodzi za mąż. Przykro byłoby ją stracić. Z całą pewnością brakowałoby mu jej, gdyby wyjechała w podróż poślub-

ną. Wiedział jednak, że gdy tylko Olive przywyknie do pozycji księżnej czy markizy, bez wątpienia zateęskni znowu do jego pocałunków. Na tę myśl kąćki ust lorda Alistaira ściągnęły się w cynicznym grymasie.

— Dlaczego tak inaczej czuję się z tobą niż z innym mężczyzną? — zapytała go żałośnie dwa dni temu.

Czekał na nią w jej sypialni po kolacji w Richmond House, podczas gdy markiz Harrowby po odprowadzeniu jej do domu i ucałowaniu dłoni musiał pokornie odejść od drzwi. Lord Alistair miał klucz od ogrodu i przyszedł do domu przy Park Street wcześniej.

Wyjście na taras z salonu było otwarte na oścież i gdy służba udała się na spoczynek, wśliznął się na górę, kładąc się na udrapowanym jedwabiem łożu. Woń francuskich perfum Olive unosiła się w powietrzu. Oczekiwanie sprawiało Alistairowi przyjemność. Wiedział, że jej przybycie rozpali ich namiętność. Olive weszła i natychmiast rzuciła się w jego ramiona. Długo trwało, zanim poczuli chęć do rozmowy. Dopiero gdy świece przy łożku wypaliły się, a na niebie pokazał się blask przedświtu, zaczęli rozmawiać.

— Jesteś bardzo piękna — rzekł lord Alistair. Jedną ręką przyciągnął ją do siebie, drugą gładził

jedwabiste włosy. Niemal szorstkim ruchem wy-

ciągnął z nich spinki i opadały teraz kruczoczarną falą na nagie plecy. Pomyślał, że są równie miękkie jak jej skóra, i zniewalają go skuteczniej niż jakiegokolwiek okowy.

— Jak przyjęcie? — spytał.

— Nudne! — Olive wydeła wargi. — Wszyscy strasznie napuszeni, a księżę jeszcze banalniejszy niż zwykle.

— Cieszę się więc, że nie zostałem zaproszony.

— Myślałam tylko o tym—kontynuowała Olive

— że zobaczę cię potem, ale nie wyobrażałam sobie, że czas może biec tak wolno. Stale spoglądałam na zegar i wydawało mi się, że chyba stoi!

— Harrowby przywiózł cię do domu? — spytał niedbale Alistair. — Zjawił się punktualnie?

— Zrobiłby to, gdybym zachęciła go nieco bardziej — odparła wyraźnie zadowolona Olive. — Bałam się jednak, że jeśli to uczyni, nasze spotkanie się opóźni.

— Pochlebia mi to!

— Dlaczego nie jesteś bardziej zazdrosny?

— zapytała z nagłą nutą gniewu w głosie. — Każdy inny mężczyzna, łącznie z księciem i Arthurem Harrowby, byłby dziko zazdrosny i gotów cię zastrzelić, gdyby wiedział, gdzie teraz jestem.

Lord Alistair uśmiechnął się drwiąco.

— A dlaczegóż to miałbym być o kogoś zazdrosny?

— Kocham cię! Kocham cię, Alistairze! — Uniosła ku niemu twarz. — Czy wiesz, że nigdy mi tego nie powiedziałaś?

— Moim zdaniem powinno to być widoczne bez słów — rzekł wykrętnie.

Wiedział, że Olive jest rozczarowana. Powodowany szczególnym, dla niego samego niewytłumaczalnym kaprysem, z zasady nigdy nie mówił kobiecie o swej miłości. Chciał być pewien, że jego uczucia to coś zdecydowanie odmiennego od spalającej namiętności, dla określenia której istniało inne, bardziej obrazowe słowo.

Wiedział, że nie tylko pod tym względem różni się od swych rówieśników. Modą wśród dżentelmenów stało się pisanie wierszy sławiących uwielbiane kobiety, ci zaś, których natura nie obdarzyła talentem do mowy wiązanej, pisali elokwentnie i bez końca o swej miłości. Zwyczajne wręcz stało się mówienie o swoim „zakochaniu” lub też „kochaniu się” nawet z rozpustnicami czy prostymi dziewczynami.

Być może to wykształcenie nie pozwalało mu na hańbienie języka angielskiego używaniem słów w kontekście, który dla niego znaczył coś zupełnie innego. Bez względu na powód, nigdy nie powiedział żadnej kobiecie, że ją kocha. Każda też owo pomijanie zauważała i odnotowywała, czując do niego wielką urazę.

— Powiedz, że mnie kochasz — błagała Olive.

— Powiedz, że jeśli wyjdę za kogoś innego, będziesz miał złamane serce.

— Nie jestem wcale pewien, czy je mam —*r* odparł lord Alistair. — Wiele pięknych kobiet żyje w przekonaniu, że przy akcie mojego tworzenia zapomniano o dołożeniu tego organu.

— Och, Alistair, jak możesz być tak okrutny!

— wykrzyknęła Olive. — Każesz mi myśleć, że z twojej strony to tylko gra. Kocham cię do szaleństwa i straszliwie mnie to unieszczęśliwia.

— Wątpię—rzekł lord Alistair.—Dlaczego tak się troszczysz o słowa? Czyny są bardziej skuteczne i z pewnością dają znacznie więcej zadowolenia.

Z tymi słowami objął miękką szyję kobiety, a usta poszukały jej warg. Rozgoryczona brakiem reakcji na jej błaganie, opierała się, szybko jednak gwałtowna władczość pocałunku obudziła przygasły ogień namiętności i jego płomienie zaczęły unosić się w niej coraz wyżej. Nie mogła już myśleć, czuła jedynie palące, nienasycone pragnienie.

Wczoraj lord Alistair nie widział się z Olive, wiedział jednak, że między popołudniem a wieczorem spotkała się zarówno z księciem, jak i z markizem. Był też niemal pewien, że któremuś z nich oddała swą rękę.

Korona w książęcej mitrze była bardzo nęcąca. Markiz z kolei był zamożny i zdecydowanie przy-

stojniejszy. Obu jednak, dumął lord Alistair, rozpiera poczucie własnej ważności. Gdy Olive zostanie żoną któregoś z nich i strojna w rodzinne klejnoty będzie brylować przy stole, stanie się dla niego jedynie kolejnym nabytkiem, którym mężczyzna się chwali i strzeże go zazdrośnie.

Uderzyło go, że życie kobiety zamężnej jest w pewien sposób przygnębiające. Jeśli mąż jest człowiekiem ważnym, żona jest tylko jego uzupełnieniem i nie oczekuje się od niej niezależności sądów ani uczuć. Przypomniał sobie, co powiedziała mu śliczna kobieta, z którą miał krótką acz bardzo satysfakcjonującą sercową przygodę.

— Wszyscy mężczyźni z wyższych sfer są tacy sami! Pragną cię w taki sam sposób, jak pragną cennego obrazu, sewrskiej wazy czy też świetnego konia. Gdy już jednak zdobędą ten skarb, rozglądają się wokoło w poszukiwaniu nowej zdobyczy, którą mogliby dodać do swej kolekcji.

— Nie doceniasz siebie! — zaprotestował lord Alistair, tak jak tego oczekiwała, choć wiedział, że w jej słowach jest pewna doza prawdy.

Jednak on nie miał kolekcji, do której mógłby dołączyć piękną kobietę. Starczało mu pieniędzy na dość wygodne życie i pokrywanie wydatków, jakie musi ponosić dżentelmen z najbardziej ekstrawaganckiego i rozpustnego towarzystwa w całej Europie.

Nie posiadał żadnego majątku, aby otrzymywane z niego procenty zapewniały mu duży dochód roczny. Nie obciążały go jednak koszty utrzymywania dużego domu i poza ubraniem, małym gospodarstwem w Londynie oraz trzymanymi przez niego dwoma końmi, miał tylko niewielkie wydatki. Poza tym korzystał z luksusowego życia w domach swych przyjaciół.

Każda pani domu potrzebowała wolnego mężczyzny, zwłaszcza kogoś tak przystojnego i dystyngowanego jak lord Alistair, toteż do jego wygodnego choć stosunkowo skromnego mieszkania przy Half-Moon Street zaproszenia napływały często. Stało się to powodem zatrudnienia przez niego na dwie godziny dziennie cichego, skromnego sekretarza. Ktoś musiał odpowiadać na coraz obszerniejszą korespondencję.

Z sekretarzem układającym jego spotkania, oczekującym stale sługą i doświadczonym kucharzem, przygotowującym posiłki, gdy był w domu, życie lorda Alistaira było godne pozazdroszczenia. Nie było w Anglii domu, do którego nie byłby zapraszany, a gdy potrzebował, miał do dyspozycji najlepsze psy gończe i konie do polowania. Zapewne najważniejsza podczas tych wizyt była obecność jakiejś pięknej kobiety, pragnącej dowiedzieć się, czy nie czuje się samotny w nocy.

— Wiem, że nie jest pan bogaty — powiedział mu kilka tygodni temu książę Walii — ale do diabła, Alistair, pewien jestem, że żyje pan lepiej niż ja!

Lord Alistair wybuchnął śmiechem.

— Sir, myślę, że znalazłby pan wielu mężczyzn, którzy chętnie zamieniliby się z panem.

— A pan? — rzucił książę sarkastycznie.

— Ja nie — potrząsnął głową lord Alistair — tylko że ja lepiej od innych wiem, jak wiele trosk pan dźwiga i ile zgrzyzot ma pan w życiu osobistym.

— To prawda, i uważam, że to strasznie niesprawiedliwe — rzekł książę rozdrażnionym tonem. — Zazdroszczę panu, Alistair. Czy pan to sobie wyobraża?

Później lord Alistair śmiał się na wspomnienie tej rozmowy, ale doskonale wiedział, co książę miał na myśli. Uważał, że wyjątkowym szczęściem jest jego swoboda i niezaangażowanie oraz pewna stabilność uczuć. Książę w każdym romansie, zwłaszcza w związku z panią Fitzherbert, przechodził wszelkie emocjonalne kryzysy, jakie mógłby wymyślić dramaturg. Płakał, ranił się nożem i jeśli kobieta, którą darzył miłością, nie odpowiadała na jego uczucia, groził, że się zabije.

Lord Alistair wiedział o potajemnym małżeństwie księcia z panią Fitzherbert. Gdyby wiadomość o poślubieniu katoliczki przedostała się do opinii

publicznej, jego pozycja pretendenta do tronu byłaby zagrożona.

Żadna kobieta nie miałaby dla mnie takiego znaczenia — myślał pogardliwie — żebym zrezygnował z szansy rządzenia Brytanią!

Nieopanowana uczuciowość księcia jeszcze bardziej umocniła przekonania lorda Alistaira, aby nie okazywać swych uczuć, dopóki całym sercem nie będzie przekonany o ich prawdziwości. Nawet w przyпіływie największej namiętności krytyczna część jego umysłu mówiła mu, że to tylko emocje, które mogą zblaknąć lub zniknąć, nie zaś idealna miłość. Choć doskonale wiedział, że miłość inspiruje ludzi do wielkich czynów, że zawsze opisywali ją artyści i od zarania dziejów stanowiła natchnienie kompozytorów i poetów, sam nie wierzył w jej istnienie. Miłość! Gdzie jej szukać? Czy jest osiągalna dla zwykłego człowieka jak on? Nie bardzo w to wierzył, a jednocześnie nie chciał godzić się na to, co dla niego było urojeniem. Ofiarowywał więc swe uczucia w świątyni, która wciąż pozostawała pusta.

Pielegnowane w głębi duszy ideały nie przeszkadzały mu w korzystaniu z uciech życia i spojrzął znowu z zainteresowaniem na leżący przed nim pachnący liścik Olive. Jeśli, jak podejrzewał, wybrała sobie męża, będzie jej brakowało kochanka. Nim nadejdzie dzień ślubu, Olive zrobi wszystko, by wykorzystać wolny czas, który pozostanie jej między kupowa-

niem ślubnej wyprawy i spotkaniami z przyszłymi krewnymi. Lord Alistair był pewien, że dopóki nie będzie miała na palcu obrączki, nie wpuści do swojej sypialni ani księcia, ani markiza; dla niego ogrodowa furka i okno salonu były zawsze otwarte.

Zadumę przerwało mu wejście do jadalni służącego. Pokój był mały, bowiem lord Alistair rzadko przyjmował więcej niż sześcioro przyjaciół. Podobnie jednak jak przyległy salonik urządzone były rozkosznie, a jego wyposażenie otrzymał w prezencie od pewnej pięknej damy, z którą romansował jakieś dwa lata temu.

Zmieniał mieszkanie właśnie w chwili, gdy zostali kochankami, i podczas gdy jego stać było tylko na kwiaty i drobiazgi w rodzaju malej broszki z kameą, mająca niezmiernie bogatego męża kobieta szczerze i na najrozmaitsze sposoby okazywała mu swe uczucia. W stajni, którą lord Alistair wynajmował przy bocznej uliczce Half-Moon Street, znalazły się nowe konie, i to znakomite egzemplarze. Otrzymywał też nabijane klejnotami laseczki ze złotymi rączkami, wykładane emalią tabakierki, a także obrazy będące przedmiotem wielkiej zazdrości niektórych jego przyjaciół.

Jeśli nawet domyślali się, kto był ofiarodawcą, byli zbyt taktowni, aby o tym mówić. Zachwycali się tylko jego dobrym gustem oraz wiszącym nad

kominkiem w salonie Rubensem i zdobiącym sypialnię Fragonardem.

W jadalni uwagę gości przyciągał portret samego lorda. Malowany w czasach jego dzieciństwa, przedstawiał ubranego w kilt Alistaira upozowanego na tle zamku, w którym się urodził, a którego nie widział od dnia, gdy skończył dwanaście lat. Zamek należał do najbardziej imponujących budowli w Szkocji, toteż obcy wpatrywali się zafascynowani w obraz i mówili zawsze raczej o zamku niż o stojącym przed nim chłopcu.

— Często słyszałem o zamku Kildonon — mawiali. — Jest wspanialszy od wszystkich innych budowli.

Mieli zazwyczaj chęć dodać coś jeszcze, ale lord Alistair zmieniał temat rozmowy. Zawsze czuł rozdrażnienie, gdy rozmawiano o tym, że od prawie piętnastu lat nie był w rodzinnych stronach.

Służący Champkins przyniósł poranną gazetę i zabrał półmisek nie ruszonej nerkówki.

— Jakiś dżentelmen chce się z panem widzieć, milordzie — oznajmił. — Powiedziałem mu, że tak wcześnie nikogo pan nie przyjmuje.

— Bardzo dobrze, Champkins — odparł lord Alistair. — Nie życzę sobie nikogo widzieć w tej chwili. Powiedz mu, żeby przyszedł jutro.

— Już to powiedziałem, milordzie, ale on powiada, że przybył tu aż ze Szkocji.

— Ze Szkocji, mówisz? — lord Alistair spojrział na sługę zdumiony.

— Tak, milordzie, ale dla mnie to on na Szkota nie wygląda, a po angielsku mówi jak tutejszy.

— Ze Szkocji—powtórzył lord Alistair. — Nie, to niemożliwe!

— Mam mu powiedzieć", żeby poszedł?

— Nie, Champkins — odparł lord Alistair po chwili milczenia. — Przyjmę go tutaj. Proszę podać coś do picia.

— Nie wygląda mi na takiego, co pije — zauważył Champkins z poufałością zadomowionego służącego.

— Lepiej dowiedzmy się, czego sobie życzy — rzekł lord Alistair. — Wprowadź go.

Champkins popatrzył na pana niepewnie. Lord Alistair wiedział, że służący zastanawia się, czy zaproponować mu bonżurkę zamiast jedwabnego szlafroka, w którym siedział przy śniadaniu. W istocie lord Alistair ubrany był elegancko i pod długim szlafrokiem miał nawet zawiązany biały krawat. Nie do zaakceptowania był dla niego dżentelmen, który je śniadanie, zanim się ubierze, i przyjmuje odwiedziny w przykrytej szlafrokiem długiej koszuli.

Wśród światowych piękności i znanych dandysów, a dotyczyło to również księcia Walii, nie było niczym niezwykłym wpadać do przyjaciół w porze śniadania. Lord Alistair był więc zawsze wykąpany,

ogolony i ubrany, zanim z kimkolwiek się spotkał. Jedyłą swobodą, na jaką pozwalał sobie o tej godzinie, było niewkładanie żakietu.

Champkins wyszedł, a chwilę później otwierając szeroko drzwi jadalni, zaanonsował ceremonialnym tonem:

— Pan Faulkner, milordzie.

Lord Alistair wpatrywał się przez chwilę w mężczyznę w średnim wieku, którego skronie przyprószyła już siwizna, po czym podniósł się wolno i wyciągnął rękę.

— Trudno mi wprost uwierzyć, że to naprawdę Andrew Faulkner!

— Zastanawiałem się, czy pan mnie pozna, milordzie!

— Wydaje mi się, że to ja powinienem powiedzieć — odparł lord Alistair.

— Jest pan teraz dorosłym człowiekiem — zauważył Faulkner — ale poznałbym pana wszędzie.

Mężczyzna przez moment popatrzył na obraz nad kominkiem, potem przeniósł wzrok na gospodarza.

— Milordzie, mógłbym powiedzieć, że wygląda pan dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem, tylko jest pan przystojniejszy. — Skorzystał z zaproszenia i z godnością zajął miejsce przy stole.

— Spodziewam się, że przybył pan tutaj z wiadomościami od mojego ojca — rzekł lord Alistair.

— Nie wyobrażam sobie, by odbył pan tę podróż jedynie dla przyjacielskiej pogawędki.

— Tak jest, milordzie. Przynoszę panu pewne wieści i obawiam się, że zmartwią pana i zakłócą jego spokój.

Lord Alistair nie odpowiedział, uniósł tylko brwi, a potem jakby spodziewając się, że będzie mu to potrzebne, wypił łyk brandy.

— A więc, milordzie — zaczął z wyraźnym trudem Faulkner, ważąc każde słowo — z wielkim żalem muszę powiadomić" pana, że pana starszy brat, markiz Kildonon, a także pana drugi brat, lord Colin, utonęli kilka dni temu w czasie sztormu na morzu!

Lord Alistair siedział jak skamieniały. Dłuższą chwilę wpatrywał się w Faulknera, jakby niepewny, czy się nie przesłyszał.

— Ian i Colin nie żyją? — spytał wreszcie nieswoim głosem.

— Tak, milordzie.

— Jak to się stało?

— Wyłynęli na ryby, milordzie, i niespodziewanie rozpętała się burza. Można tylko powiedzieć, że łódź okazała się na morze nieodpowiednia.

— Popłynęli sami?

— Nie, był z nimi rybak. Też zginął.

Lord Alistair odstawił szklaneczkę i uniósł dłoń do czoła.

— Nie mogę wprost uwierzyć w pańskie słowa.

— Ciała zostały wyrzucone na brzeg. Dziś odbywa się pogrzeb na cmentarzu rodzinnym i wiele osób z klanu będzie w nim uczestniczyć.

Lord Alistair dobrze wiedział, o czym Faulkner mówi. Gdy tylko wieść wraz z nakazem stawienia się dobiegnie do nich z zamku, członkowie klanu pokonają mile wrzosowisk, aby zdążyć na pogrzeb. Przybędą z nimi kobziarze, którzy wraz z kobziarzami ojca całymi godzinami na blankach murów grać będą żałobną muzykę. Ciała wystawione zostaną najpierw na widok publiczny w komnacie naczelnika, potem poniesione w procesji na cmentarz, gdzie duchowny dopełni ostatniej posługi.

— Milordzie — podjął Faulkner po dłuższej chwili, jakby dając lordowi Alistairowi czas na oswojenie się z obrazem szokkich wydarzeń—pański ojciec prosi o natychmiastowy powrót pana do domu.

— Mam wrócić? — lord Alistair wyprostował się w krześle. — Dlaczego?

— Ponieważ, jak zapewne zdaje pan sobie z tego sprawę, jest pan teraz nowym markizem Kildonon i dziedzicznym pretendentem do tytułu naczelnika klanu.

Lord Alistair roześmiał się, lecz w jego śmiechu nie było radości.

— Niezbyt odpowiednia pozycja dla kogoś, kogo nie było w Szkocji przez piętnaście lat.

— Pan nadal jest Szkotem, milordzie.

— Wiem o tym, ale to tylko sprawa krwi. Wszystkie moje zainteresowania oraz całe moje życie są teraz zdecydowanie angielskie.

— Mogę to zrozumieć — powiedział Faulkner

— ale ojciec potrzebuje pana. Potrzebują pana także McDononowie.

— Jak do tej pory doskonale radzili sobie beze mnie.

— Ponieważ pańscy bracia zapewniali ciągłość klanu.

Słowa Faulknera brzmiały teraz ostro, jakby mężczyzna dziwił się, że lord Alistair nie widzi dość jasno sensu tych wydarzeń i zmusza go do wyjaśnień.

— Czy mam przez to rozumieć — spytał lord Alistair po chwili milczenia — że ojciec chce, abym wrócił i podjął życie z nim, jakby nic się nie stało?

— To pańska powinność, milordzie.

— Powinność, powinność! — prychnął lord Alistair. — W tym słowie kryje się mnóstwo grzechów i konfliktów. Jeśli rozpatrzeć całą sprawę uczciwie, nic nie jest możliwe!

— Dlaczego, milordzie? Wybacz pan, ale nie rozumiem.

— Ależ doskonale pan rozumie, Faulkner!

— zachnął się lord Alistair. — Gdy moja matka wyjeżdżała zabierając mnie ze sobą, dała jasno do

zrozumienia, że zostawia ojca ze starszymi synami, a ja należę do niej. Byłem wychowywany wedle jej życzenia i myślałem jej kategoriami. Ponieważ jest pan nie tylko człowiekiem zarządzającym finansami ojca — kontynuował ostrzejszym tonem — ale także przyjacielem rodziny, wie pan równie dobrze jak ja, że życie mojej matki było piekłem. Odeszła, gdyż dłużej nie mogła tego znieść.

— Nie będę twierdził, milordzie, że pańscy rodzice, choć ludzie interesujący i inteligentni, byli dobrze dobranym małżeństwem. Proszę wybaczyć mi to, co teraz powiem, ale nawet w tamtych latach przekonany byłem, że pańskie miejsce jest w Szkocji, w domu przodków. Bez względu na to jak bardzo stał się pan Anglikiem, szkocka krew nadal płynie w pańskich żyłach.

— Piękne słowa wymyślone przez dziejopisów! — prychnął lord Alistair. — Ale ważniejsze tu są moje przekonania, mój instynkt oraz życie, którym się raduję od chwili opuszczenia Szkocji.

— Pana bracia byli szczęśliwi.

— Ponieważ nigdy nie poznali innej egzystencji. Bez wątpienia też za życia ojca nie mieli możliwości myślenia o sobie.

Faulkner milczał przez chwilę i lord Alistair wiedział, że tego argumentu starszy pan nie może odrzucić.

— Istnieje jeszcze klan — powiedział cicho.

— Klan? — powtórzył lord Alistair.

— To im tylko pozostało. Od momentu gdy księżę Cumberland wygrał bitwę pod Culloden, Anglia lekceważy, ciemieży i poniża Szkocję.

— Kogo dziś obchodzą poglądy czy uczucia Szkotów?

— Być może samych tylko Szkotów — odparł Faulkner. — Jednak to pański naród, milordzie. Szkoci patrzą na pana jak na swego przyszłego przywódcę.

— Nie, dopóki mają mojego ojca, który rządzi nimi z wszechwładzą, jaką nie dysponuje żaden z żyjących monarchów!

— To prawda — przytaknął Faulkner. — W Szkocji, zwłaszcza na północy, naczelnik nadal jest przywódcą, ojcem i pasterzem swego klanu. Pana ojciec jest już starym człowiekiem — podjął miękko po chwili milczenia. — Po jego śmierci klan musi mieć zapewnionego następcę.

— Jestem pewien, że wśród moich krewniaków znajdzie się aż nazbyt wielu chętnych do odgrywania tej roli.

— Ma pan rację — przytaknął Faulkner. — Pana kuzyn Euan, którego z pewnością pan pamięta, po śmierci pańskich braci zaproponował, że zajmie miejsce spadkobiercy pana ojca. Złożył mu przysięgę na wierność i błagał, by mianował go swoim następcą.

W oczach lorda Alistaira pojawił się błysk nagłego gniewu.

— Doskonale pamiętam Euana! — powiedział. — Zawsze był ambitny i lubił wysuwać się na pierwszy plan. Co mu ojciec odpowiedział?

— Jego miłość wysłuchał go — odparł Faulkner — po czym odpowiedział z wielką godnością: „Straciłem dwóch synów, Euanie, co było z pewnością wolą Boga, ale nadal mam trzeciego i on jest moim prawnym sukcesorem”.

Lord Alistair nadal miał ściągnięte czoło, ale wzruszenie, z jakim mówił Faulkner, wywołało na jego ustach lekki uśmiech.

— Chciałbym widzieć twarz mojego kuzyna — powiedział — gdy otrzymał odprawę, na którą bez wątpienia zasłużył.

— Powstał — relacjonował dalej Faulkner — i powiedział: „Wasza miłość, Alistair jest teraz Anglikiem i uważam, że jego powrót jest mało prawdopodobny. A jeśli tak się stanie, przekonasz się panie, iż to dandys i głupiec, mężczyzna zainteresowany tylko winem i kobietami”.

Zmarszczka na czole Alistaira pogłębiła się.

— I co mój ojciec na to odpowiedział? — spytał twardo.

— Jego miłość nie powiedział nic — odparł Faulkner — tylko przeszedł do komnaty naczelnika, a gdy pospieszyłem za nim, kazał mi natych-

miast wyjeżdżać do Londynu. Przybyłem statkiem, bo tak było szybciej, i myślę, że pan również uzna taką podróż za wygodniejszą.

— Pan przyjmuje, że podporządkuję się woli ojca — rzekł lord Alistair wstając. — Jednak i pan, i on musicie mieć świadomość, że istnieje coś, czego nie mam zamiaru robić. Kiedy wyjeżdżałem z matką, miałem wprawdzie tylko dwanaście lat, ale ona mnie do tego nie zmuszała.

— Wiem o tym — rzekł Faulkner. — Jego miłość powiedziała mi, że zostawiła panu wybór.

— Nie było mi trudno podjąć decyzji — zauważył lord Alistair. — Ja również cierpiełem pod ręką ojca. Nie lubiłem go i nadal nie lubię.

Zapadła cisza.

— Mam nadzieję, że nie zabrzmiałoby to arogancko, milordzie — podjął Faulkner — jeśli powiem, że niezależnie od uczuć, jakie do siebie żywicie, pański ojciec był zawsze szczodry.

Lord Alistair zeszywniał. Faulkner mówił prawdę. Kiedy jego matka opuściła zamek Kildonon, co jak mówiła, było dla niej kwestią życia i śmierci, księżę wyznaczył sporą pensję na utrzymanie jej i ich najmłodszego syna.

Córka hrabiego Harlow zabrała Alistaira ze sobą do domu rodziców i najpierw posłała go do renomowanej szkoły publicznej, potem do Oksfordu. Wychowywał się w posiadłościach Harlowów w Suf-

folk, a gdy przyjeżdżał do Londynu, zawsze mógł zatrzymać się w domu dziadka przy Grosvenor Square. Zyskał przyjaciół i wraz z matką przyjmowany był przez ludzi z najlepszych sfer.

Wszystko było dla Alistaira tak nowe i fascynujące, że przez chwilę nawet nie tęsknił za wielkim zamkiem wznoszącym się nad akrami dzikich wrzosowisk. Nie tęsknił nawet za braćmi, którzy zawsze mu dokuczali.

Gdy trzy lata temu matka zmarła, zaczął się obawiać, że będzie musiał, zmienić styl życia. Ojciec, który nie kontaktował się z nim w ogóle, mógł przecież przestać dawać mu pieniądze, jakie do tej pory wypłacał żonie. Odczuł wielką ulgę, gdy od prawników księcia otrzymał list z zapewnieniem, że pieniądze, które przychodziły za życia jego matki, przeniesione zostaną na niego. Nie napisał do ojca z podziękowaniem, prosił jednak prawników, by przekazali mu wyrazy wdzięczności.

— Czy mam przez to rozumieć, Faulkner — spytał ostro — że jeśli nie wypełnię rozkazu ojca i nie wrócę, pozbawi mnie tych paru groszy?

Czekał na odpowiedź. Widział, jak Faulkner waży słowa.

— Milordzie, znając jego miłość, sądzę, że jeśli odrzuci pan powinność, którą ojciec uważa za wypełnienie woli Boga, przestanie być pan jego synem! On się pana wyrzeknie!

— I postawi Euana na moim miejscu?

— Są inni kuzyni, ale bez wątpienia pan Euan jest najpoważniejszym pretendentem.

Lord Alistair odwrócił się do kominka i spojrział na obraz z górującym nad morzem zamkiem i widocznymi w oddali wrzosowiskami. Zamek ze swymi wieżami i wieżyczkami strzelniczymi robił ogromne wrażenie, a przedstawiony został wyjątkowo pięknie.

Nie miał żadnych złudzeń. Pamiętał przerażającą dominację ojca. Wyobrażał sobie samotne życie z dala od tego, co było jego realnym światem i rezygnację ze wszystkiego, co do tej pory dawało radość. Wyczuwał każdym zmysłem, że tego nie zniesie, ale rozum mówił, że nie ma wyboru. Nie uda mu się żyć bez pieniędzy i bez przyjaciół, nie zwróci się też o wsparcie do krewnych z linii Harlowów. Ojciec matki nie żyje, jego wuj, teraz hrabia, ma dużą rodzinę i nigdy nie interesował się siostrzeńcem. Poza tym jest zbyt dumny, co Faulkner nazywa jego „szkocką krwią”, by być pieczeniarem.

Odwrócił się do Faulknera.

— W porządku — powiedział — wygrał pan! Kiedy musimy wyjechać?

Na twarzy Faulknera nie było widać, tak jak się spodziewał, triumfu. Starszy pan zawahał się, a w jego oczach pojawiła się niepewność.

— O co chodzi? — zachnął się Alistair.

— Milordzie — zaczął Faulkner — podane zostało oficjalnie, że pański brat, markiz Kildonon, poślubi lady Moraig McNain.

— Więc?

— Pański ojciec dał słowo, że lady Moraig poślubi jego najstarszego syna dla zjednoczenia klanów, które jak pan wie, od pokoleń żyją w niezgodzie.

W małej jadalni zapadła pełna napięcia cisza.

— Czy chce mi pan powiedzieć — odezwał się wreszcie lord Alistair z niedowierzaniem

— że ojciec oczekuje po mnie wypełnienia jego zobowiązań?

— Proszę się nie denerwować, milordzie — odparł Faulkner — ale ponieważ pański ojciec uważa to za sprawę honoru, będzie się tego domagał!

ROZDZIAŁ 2

Zapadła długa cisza. Wreszcie Faulkner nie wytrzymał.

— Mam nadzieję, milordzie — rzekł pośpiesznie — że pozwoli mi pan teraz!" się oddalić. Muszę w imieniu jego miłości załatwić kilka spotkań. Ustaliłem — mówił dalej, gdy lord Alistair nie zareagował — że jutro wczesnym rankiem wypływa z Tilbury statek, który zabierze nas do Aberdeen, gdzie będzie oczekiwała łódź pańskiego ojca.

Lord Alistair milczał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Faulkner skłonił się nerwowo i wyszedł z pokoju. Dopiero po jego wyjściu Alistair poczuł, jak bezwiednie zaciska pięści, usiłując zachować spokój. Teraz, kipiąc wściekłością, zadawał sobie pytanie, jak zniesie taką przyszłość. Już samo przyjęcie roli najstarszego syna i przyszłego naczelnika klanu było dostatecznie ciężkim brzemieniem. Jed-

nak poślubienie jakiejś Szkotki, której nigdy przedtem nie widział, stanowiło poniżenie, wobec którego nawet życie w ubóstwie wydawało mu się lepsze.

Wiedział jednak, że Faulkner nie kłamał uprzedzając go, że w razie odmowy powrotu do Szkocji ojciec się go wyrzeknie. Oznaczało to dochód zaledwie kilkuset funtów rocznie, które matka zostawiła mu po swojej śmierci. I to wszystko. Gdy mieszkała w rodzinnym domu, dziadek nie tylko ją utrzymywał, ale płacił również za jego szkołę. Potem opłacał studia, dzięki czemu pieniądze przychodzące ze Szkocji można było przeznaczyć na odzież, rozrywki oraz wszystko, co jemu i matce było potrzebne. Gdy był jeszcze chłopcem, podróżowali razem za granicę, a gdy dorósł, sam zaczął zwiedzać różne części Europy, ciesząc się z nowych wrażeń. Kosztowne podróże możliwe były tylko dzięki hojności obu jego dziadków.

Myśl o życiu bez koni, bez wygodnego mieszkania, bez małych atrybutów zamożności, nabierających wielkiej wartości, gdy się je traciło, była dla niego nieznośna. Tylko jakie pieniądze mogłyby wynagrodzić życie w odosobnieniu na zamku i poślubienie nie znanej kobiety, najpewniej prostytutki bez ogłady i wykształcenia?

Pomyślał o inteligentnych mężczyznach ze świata polityki oraz kręgów towarzyskich, w których się obracał. Wspomniał wszystkich, których nazy-

wał przyjaciółmi, piękności, z którymi się kochał, i dreszcz przebiegł mu po plecach. Nagle poczuł, jakby rzucono mu linę ratunkową. Zaświtała mu pewna myśl. Gdyby ożenił się przed wyjazdem do Szkocji, nikt nie zmusiłby go do poślubienia lady Moraig i nawet ojciec nie mógłby nic na to poradzić. Nie stanowiło to wprawdzie rozwiązania wszystkich kłopotów, ale przynosiło przynajmniej częściową ulgę. Na wargach lorda Alistaira pojawił się lekki uśmiezek. Jeśli uda mu się namówić Olive do małżeństwa, odpłaci ojcu jego własną monetą, mogąc legalnie sprzeciwić się jego woli. Zgody Olive był niemal pewien. Kiedy dowie się, że został markizem, zrobi dla niego wszystko.

Przeszedł do sypialni w świetnym humorze. Champkins pomógł mu włożyć zakiet, który przyniesiono właśnie od Schultza. Był doskonale skrojony, leżał bez jednej zmarszczki. Lord Alistair pamiętał jednak, jak kosztowne jest szycie u Schultza i ile pieniędzy jest mu winien. Pomyślał, że jako spadkobierca ojca będzie mógł bez trudu uregulować wszystkie rachunki. Przyjęcie zaś roli buntownika i wydziedziczzonego syna stwarzało szansę na skończenie w więzieniu za długi.

— Pan wychodzi, milordzie? — spytał Champkins.

Podał mu cylinder, laseczkę z herbem na złotej gałce oraz rękawiczki i lord Alistair opuścił mieszkanie na Half-Moon Street. Wiedział, że w doskonale dopasowanych spodniach koloru szampana, w butach jaśniejących tak, że można się było w nich przejrzeć, i zachodzącym wysoko kołnierzyku wygląda bardzo wytwornie.

Wieczorem nie wydał żadnych poleceń i nie przygotowano mu powozu. Ruszył więc wolno w stronę Piccadilly. Cieszyło go słońce, radowały wznoszące się po obu stronach ulicy domy. Jednocześnie wyobraźnia podsuwała mu wielkie połacie pustych wrzosowisk z żyjącymi na nich kuropatkami i czuł niemal słony smak nadlatującego od morza ostrego wiatru.

Przemierzał powoli Piccadilly. Kłaniał się znajomym, odpowiadał na skinienia pięknych kobiet w kapturkach z wysokimi główkami, które odbywały przejażdżki w otwartych powozach, i pochłaniał wzrokiem wszystko dokoła. Czuł głęboką miłość do trotuaru pod nogami, do traw w Green Parku, do piętrzących się na tle nieba zarysów dachów Devonshire House. To było jego życie; tu rozgrywały się sprawy dotyczące całego narodu. Nie wyobrażał sobie, o czym będzie myślał, co mówił i czuł w pustce wyżyny południowej Szkocji.

Przeżywając swe rozgoryczenie postanowił, że nie powiadomi na razie nikogo o zmianie, któ-

ra zaszła w jego życiu. Jutro może być markizem Kildonon, dziś jest ciągle lordem Alistairem McDononem, najbardziej uwielbianym, rozkapryszonym i rozrywanym młodym mężczyzną z całego wytwornego londyńskiego towarzystwa.

Domyślał się, aczkolwiek Faulkner nie powiedział mu tego, że jedno ze spotkań rewidenta jego ojca odbędzie się przy Fleet Street i dotyczyć ma zamieszczenia w londyńskich gazetach wiadomości o śmierci jego braci. Jutro *Times* i *Morning Post* z pewnością umieszczą nagłówki o tragedii, dziś jednak pozostaje mu kilka godzin na to, by być sobą, a nie synem swego ojca, strofowanym niczym nieokrzesany paborowy.

Myślami wracał do przeszłości. Słyszał, jak echo roznosi głos ojca po korytarzach zamku i wypełnia nim wielkie wysokie komnaty. Gdy jego miłość przeżywał napad wściekłości, zdawało się, że burza wstrząsa fundamentami budowli. Kiedy Alistair podrośł, widział, jak matka się denerwuje, jak bieleje jej twarz i z dnia na dzień jej oczy są bardziej przerażone. Natura obdarzyła ją charakterem i silną osobowością, lecz była kobietą nadzwyczaj wrażliwą. Życie z człowiekiem opętanym poczuciem własnego znaczenia, który zachowywał się nie tylko jak król, ale jak tyran, stało się dla niej niemożliwe.

Dopiero jako dorosły mężczyzna pojął, jakim męstwem ze strony matki była ucieczka.

Wyobra-

żał sobie tkwiący w jej sercu strach przed zatrzymaniem i sprowadzeniem siłą do zamku. Ale książę był zbyt dumny, by ją ścigać. Na wieść o sekretnej ucieczce żony i najmłodszego syna nakazał wszystkim w zamku, żeby nigdy o niej nie mówili, nigdy też jej imię nie padło z jego ust. Gdy jednak dowiedział się o śmierci żony, wymógł na jej krewnych, by jako księżnę Strathdonon złożono ją w rodzinnym grobowcu. Lord Alistair odmówił spotkania ze starszymi klanu, którzy przybyli, żeby zabrać ciało księżnej na miejsce wiecznego spoczynku. Myślał z urazą, że nawet po śmierci uważał ją za swoją własność. Sam zadowolił się oficjalnym opłakiwaniem matki w czasie nabożeństwa żałobnego, które odbyło się na cmentarzu rodziny Harlowów. Skręcił teraz z Piccadilly w St. Jame's i skierował swe kroki do White's Club. Wiedział, że gdy znajdzie się już na północy, najdotkliwiej będzie tęsknił za tym miejscem. Najwytworniejszy i najbardziej ekskluzywny klub w Londynie ułatwiał mu spotkania z przyjaciółmi o dowolnej porze dnia lub nocy. Natychmiast po wejściu powitały go uśmiechy „bratnich dusz”, których pełno było w klubie. Gdy wkraczał do kawiarni, dobiegły go głośne pozdrowienia. Po chwili zasiadł przy stole lorda Worceстера, jednego ze swych najbliższych przyjaciół.

— Jak się pan czuje po wczorajszym wieczorze, Alistair? W gardle mam coś na kształt papuziej klatki. Ostatni raz piłem w burdelu!

— Obydwaj zachowaliśmy się jak głupcy — przytaknął lord Alistair — ale za cenę, którą zapłaciliśmy, powinniśmy dostać przynajmniej dobre wino.

— Uznali zapewne, że o takiej godzinie nie będziemy zbyt wybredni — rzekł lord Worcester. — Co teraz weźmiemy?

Kelner przyjął od nich zamówienie i odszedł. Wsparty plecami o skórzane oparcie wygodnego fotela, lord Alistair przypatrywał się wszystkiemu zachłannie. Chciał dokładnie zapamiętać pokój i ludzi, żeby na wygnaniu wracać myślami do tego obrazu. Zastanawiał się nad tym w czasie obiadu, który jedli w pokoju o wysokich oknach, pełnym obrazów w złoconych ramach zawieszonych na czerwonych ścianach.

Umówiony ze słynną kurtyzaną Harriet Wilson przyjaciel podwiózł go do Park Street.

Przez pierwsze dwie godziny przed spotkaniem z Olive lord Alistair przeżywał najrozmaitsze rozterki. Obawiał się nieco rozmowy z nią, choć był niemal pewien, że teraz, gdy ma jej do zaofiarowania mitrę, miłość pokona wszelkie przeszkody i Olive zgodzi się wyjechać z nim do Szkocji. Nie nastąpi to jutro, gdyż nie może wymagać zbyt wiele, ale w ciągu kilku naj-

bliższych dni. Musi ją przekonać, że błędem byłoby źle usposabiać do nich ojca. Wystarczającym rozgoryczeniem napelni go zniweczenie jego planów. Tłumaczył sobie, że ojciec nie powinien mieć pretensji o małżeństwo zawarte przez niego w tak młodym wieku. Łatwo da sobie wmówić, że ślub odbył się przed śmiercią braci Alistaira.

Wiedział, że wiele żąda od Olive. Najistotniejszą przeszkodą jest jego żaloba uniemożliwiająca wzięcie takiego ślubu, jakiego pragnie kobieta. Ślubu w katedrze w St. George's przy Hanover Square, uświetnionego obecnością księcia Walii i wielkim przyjęciem po zakończeniu ceremonii. Chociaż jako wdowa nie wystąpiłaby w bieli, na pewno chciałaby wyglądać tak pięknie, żeby jej widok zapierał dech w piersiach. Poślubienie przyszłego księcia zostałyby zaakceptowane przez wszystkich członków towarzystwa i przyjęte jako należne jej prawo.

Dla niego satysfakcjonująca była także możliwość utarcia nosa zarówno Torchesterowi, jak i Harrowby'emu. Bez wątpienia poślubiłby najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał, a jeśli wierzyć jej deklaracjom, kochającą go całym sercem. Nic w tym dziwnego. Przecież tak bardzo sobie odpowiadają, ich namiętność jest bardziej intensywna i szalona niż wszystko, czego doświadczył do tej pory.

Małżeństwo z nią nie było jednak tym, co sobie wyobrażał. Gdzieś na dnie świadomości czaiło się

nieprzyjemne uczucie, że nigdy nie będzie zupełnie pewien jej wierności. Tak wiele zameźnych kobiet pragnęło kochać się z nim, że z wielkim cynizmem odnosił się do oddania i wierności każdej pięknej kobiety. On zaś pragnął, żeby jego żona nie tylko darzyła go miłością, lecz reagowała również oburzeniem na próbę dotknięcia jej przez innego mężczyznę. Wykrzywił drwiąco wargi. Chyba żąda zbyt wiele. Wierna do śmierci może być tylko kobieta nieciekawa i nieładna, jaką z pewnością jest lady Moraig. Pograżony w rozmyślaniach nie zauważył nawet, jak znalazł się przed domem Olive. Podniósł dłoń do błyszczącej kołatki. Otworzono mu niemal natychmiast. Wszedł do środka, nie tłumacząc niczego, gdyż młody lokaj w pysznej liberii rodziny Beverley znał go doskonale.

— Czy pani jest w domu, Bateson? — zapytał.

— Jeszcze nie wróciła, milordzie. Ale wiem, że jaśnie pani oczekuje jego lordowską mość o czwartej.

— Przyszedłem wcześniej. Lokaj zawahał się.

— W salonie czeka młoda dama. Jest nie zapowiedziana, więc myślę, że jaśnie pani nie każe wielmożnemu panu długo czekać.

Lord Alistair przeszedł do przyległego do salonu pokoju. Podczas wielkich przyjęć ustawiano

w nim cztery małe stoliki bądź jeden duży stół dla tych, którzy uważali wieczór za stracony, jeśli nie mogli grać w karty. Temu właśnie zawdzięczał pretensjonalną nazwę „Pokoju do Kart”. Teraz nie było w nim stolików i lord Alistair zasiadł w wygodnym fotelu pod oknem. Miał nadzieję, że Olive niedługo wróci, choć był poirytowany faktem, iż ma inne zajęcia przed spotkaniem z nim.

— Jak tylko jaśnie pani wróci — rzekł lokaj przynosząc mu gazety — powiem, że wielmożny pan już jest.

— Poczekaj, aż tamta dama wyjdzie — odparł lord Alistair — a potem przypilnuj, żeby nam nie przeszkadzano. Muszę omówić z panią sprawy wielkiej wagi.

— Proszę zdać się na mnie, milordzie — rzekł Bateson, zamykając za sobą drzwi.

Lord Alistair nie wziął gazet do ręki. Wpatrzony w przestrzeń niewidzącymi oczami zastanawiał się, jak Olive zareaguje na to, co jej zaproponuje. Perspektywa zostania jego żoną, nawet przy konieczności spędzania kilku miesięcy w roku w Szkocji, powinna dać jej promienne szczęście. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Olive sprzeda zapewne ten dom, a on w zamian urządzi rezydencję Kildononów w Park Lane. Dręczył się zawsze zlikwidowaniem przez ojca rodzinnej posiadłości w Londynie, użytkowanej czę-

sto za czasów dziadka, i niewyrażeniem zgody na przebywanie tam żony ani syna. Za każdym razem, gdy tamtędy przejeżdżał i widział zabite na głucho okna i brudne, zaniedbane schody, odczuwał irytację. Niechęć do ojca i bunt przeciw jego decyzjom wzrastały jeszcze na widok tego symbolu zawziętości i skłonności do izolacji.

Lord Alistair mawiał często, że ojciec urodził się o cały wiek za późno. W dwadzieścia pięć lat po rozegranej w 1746 roku bitwie pod Cullodon, która tak wiele zmieniła w dziejach Szkocji, naczelnicy przestali szanować swe klany, a ich synowie udawali się na południe w poszukiwaniu edukacji i rozrywki. Przyjaźnili się z Anglikami i radowali przyjemnościami, jakich dostarczał im Londyn, jakby nigdy nie zostali pokonani i poniżeni.

Naczelnicy stracili dawną władzę. Odebrano im prawo dziedzicznej jurysdykcji, które we własnym narodzie zapewniało im moc decydowania o „lochu i szubienicy”. Członkowie klanów pozbawieni zostali istotnych oznak ich przynależności. Pod karą śmierci zabroniono im noszenia broni, a ubieranie się w odzież z tartanu, noszenie kiltu czy szkockiego szala stało się przestępstwem karanym wygnaniem. Okrutne prawa zostały później uchylone, lord Alistair wiedział jednak, że nigdy nie zostaną zapomniane. Nie tak dawno czytał, że w Szkocji na

każdą wiadomość o francuskim zwycięstwie sadzono sosny symbolizujące wolność i obywatelskie swobody.

— Dobry Boże — westchnął z głębi serca w nagłym przypiływie irytacji. — Czy muszę w nieskończoność słuchać o całej tej goryczy i wściekłości wobec Anglików?

Dawno już zapomniał o tej nieodłącznej części swego dzieciństwa, teraz jednak wspomnienia załwały go na nowo, niczym fala przypiływu. Jeśli nie będzie uważał, pograży się w niej cały.

Dobiegające z holu głosy oznaczały powrót Olive. Poderwał się odruchowo, lecz przypomniał sobie, że nim jemu poświęci czas, musi spotkać się z kimś innym. Przez uchylone drzwi między salonem a pokojem gier usłyszał rozmowę.

— Pani chciała się ze mną widzieć? — zapytała Olive.

— Tak... pani... bardzo przepraszam, że ją niepokoję, ale musiałam... przyjść do pani po... pomoc.

Głos był cichy, miękki, jakby przestraszony.

— Po pomoc? — zabrzmiało ostre pytanie.

— Kim pani jest?

— Nazywam się Arina Beverley.

Z nagłej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, lord Alistair wywnioskował, że Olive jest zaskoczona.

— Czy chce mi pani powiedzieć — zaczęła po chwili gospodyni — że jest córką Charlesa Beverleya, brata mojego męża?

— Tak... właśnie tak.

— Po co więc przyszła pani do mnie?

— Jestem zrozpaczona... proszę pani. Chociaż może to wyglądać na... narzucanie się, skoro nigdy się nie spotkałyśmy... ale nie mam do kogo się zwrócić... No i myślę, że ponieważ papa był pani szwagrem, pani... zrozumie.

— Co mam zrozumieć? Co pani usiłuje mi powiedzieć?

— Wie pani — podjęła Anna Beverley po chwili — że... że mój ojciec zmarł dwa lata temu.

— Mąż z pewnością wspominał mi o tym — odparła Olive obojętnie — ale o ile wiem, z powodu haniebnego postępu ojca, jakim było poślubienie pani matki, rodzina Beverley zerwała z nim wszelkie kontakty.

— Sir Robert przyszedł jednak na... na pogrzeb mojego ojca.

— Co ja uznałam za bardzo szlachetny postępek z jego strony. Pani ojciec okrył hańbą nazwisko rodziny i tylko taki dobry chrześcijanin jak mój mąż mógł mu to po jego śmierci wybaczyć.

— Jednocześnie — powiedziała Arina — ta... pensja, którą papa otrzymywał najpierw od ojca, a potem... od sir Roberta... przestała przychodzić.

— Oczekiwała pani, że będzie inaczej?

— To byłoby po... chrześcijańsku pamiętać, że żyjący nadal... potrzebują opieki, kiedy... zmarły już nie... wymaga pomocy.

— Nie ma pani prawa tego mówić! — odparowała Olive. — Proszę mi powiedzieć, po co właściwie pani tu przyszła. Nie mam chęci tracić czasu na spory o postępowaniu pani ojca, zwłaszcza że nigdy go nie znałam i ani on, ani pani matka absolutnie mnie nie interesują.

— Proszę... proszę... tak nie mówić! — głos Ariny brzmiał teraz błagalnie. — Musiałam przyjść do pani po... pomoc, bo... bo moja matka jest... straszliwie chora. Śmierć ojca załamała ją i doktorzy mówią, że jeśli chce... nadal żyć, musi poddać się operacji.

— To nie moja sprawa!

— Nazwisko mojej matki jest Beverley... tak jak pani... A ja proszę panią tylko, by... by pożyczyła mi pani dwieście funtów. Pokryłoby to... koszty zoperowania mamy w prywatnym domu opieki przez specjalistę od tej szczególnej choroby, na którą ona... cierpi. Zapadła cisza i po chwili Arina podjęła znowu.

— Ja... ja zwrócę te pieniądze... Przysięgam pani, że zwrócę... bez względu na to, ile czasu mi to zabierze... Ale każdy dzień odkładania operacji... to pogorszenie zdrowia mojej matki!

Głos dziewczyny drżał tłumionym łkaniem, ale odpowiedź Olive brzmiała ostro i twardo.

— A jak wyobraża sobie pani zwrócenie dwustu funtów? No, może poza wyjściem na ulicę, choć wątpię, by nawet tam szybko zebrała pani taką wielką sumę.

Lord Alistair usłyszał cichy okrzyk przerażenia.

— Jak... jak pani może myśleć o czymś tak niegodziwym, tak... poniżającym?!

— Nędzarze nie wybierają! Skoro wygląda to na jedyne rozwiązanie problemu, a pani nie jest przygotowana na zbieranie pieniędzy w taki sposób, powinna pani udać się gdzie indziej po pomoc.

— Ależ pani nie może... tak myśleć!

— Oczywiście, że mogę! Nie ma pani prawa przychodzić tutaj i domagać się ode mnie pieniędzy dla kobiety, która nie powinna odciągać mojego szwagra od jego rodziny. Poza tym ja za nią nie odpowiadam.

— Proszę... wielmożna pani... Proszę zrozumieć... Nie mam do kogo zwrócić się o pomoc, a wydaje mi się... Jestem pewna, że... że gdyby sir Robert żył, pomógłby mojej mamie. — Dziewczyna zaszlochała. — Kiedy rozmawiał ze mną w czasie pogrzebu — podjęła — wiedziałam, że mimo... trwającego od lat oziębienia stosunków między braćmi... sir Robert nie przestał... lubić mojego ojca.

— Mój mąż mógł być sentymentalnym głupcem, ja nie jestem! — ucięła ostro Olive. — A teraz, jeśli nie ma pani nic więcej do powiedzenia, proponuję, by wróciła pani do matki i skoro jest chora, zabrała ją do szpitala.

— Nawet jeśli znajdzie się łóżko w którymś z bezpłatnych szpitali — powiedziała Arina zdławionym głosem — byłoby... morderstwem wysłać mamę w takie miejsce... Nie wyobraża pani sobie... brudu... chorób, które... tam kwitną... i niekompetencji doktorów...

— To już nie moje zmartwienie — stwierdziła Olive. — Proszę iść i nie wracać tu więcej. Jeśli pani matka umrze, to z własnej winy. Uważam nawet, że to, co ją spotkało, jest zapłatą za jej postępek w przeszłości.

— Jak pani może mówić coś tak... okrutnego?! — wykrzyknęła Arina. — Jedynym przestępstwem mojej matki było to, że kochała papę tak samo, jak on ją kochał... I nic więcej na tym świecie nie miało dla nich znaczenia.

— Teraz jednak uznała, że znaczenie mają również pieniądze — prychnęła Olive. — No cóż, mam nadzieję, że je pani znajdzie, z pewnością jednak nie u mnie!

Alistair najpierw usłyszał krzyk dziewczyny, potem jej płacz. Olive musiała pociągnąć za dzwonek, bo po chwili rozległo się skrzypnięcie drzwi.

— Wyprowadź młodą damę i pamiętaj, żeby tu nigdy nie wróciła! — powiedziała Olive.

— Idę się przebrać. Zawiadom mnie, jak przyjdzie lord Ali-stair.

— Ale, jaśnie pani...

Słowom Batesona towarzyszył dziwny odgłos. Lord Alistair usłyszał krzyk lokaja i nie zastanawiając się, otworzył drzwi do salonu. Olive już nie było, tylko Bateson z zatroskaną twarzą pochylał się nad leżącą na podłodze drobną postacią. Gdy Alistair znalazł się przy dziewczynie, powieki jej zatrzepotały i wyszeptała coś, co zabrzmiało jak prośba o wybaczenie.

— Brandy! — rzucił Alistair rozkazującym tonem i Bateson poderwał się natychmiast, jakby w nagłym olśnieniu, że to dobry pomysł.

Lord Alistair przyklęknął i spojrzał na Arinę Beverley. Drobną twarz w szczególny sposób pasowała do znanego mu już głosu. Jasnowłosa dziewczyna była bardzo szczupła i gdy zobaczył zapadnięte policzki oraz bladość cery, nie miał wątpliwości, że jest zagłodzona. Omdlenie wywołane było nie tylko rozpaczą, ale także brakiem jedzenia. Oczy dziewczyny rozszerzyły się tak, iż zdawały się zajmować większą część twarzy o wyostrzonych rysach. Nie były błękitne, lecz o odcieniu jasnej zieleni leśnego strumienia. Prosty nos zdradzał arystokratyczne pochodzenie.

— Ja bardzo... bardzo przepraszam!

Gdy wreszcie dziewczynie udało się przemówić, głos jej brzmiał tak cicho, że lord Alistair ledwie go dosłyszał.

— Wszystko w porządku — powiedział łagodnie. — Proszę leżeć spokojnie, lokaj zaraz przyniesie pani coś do picia.

Bateson podał mu na srebrnej tacy szklaneczkę brandy. Lord Alistair objął ramieniem dziewczynę, uniósł lekko jej głowę znad podłogi i przytknął szklaneczkę do ust.

Wzdrygnęła się, gdy palący płyn spłynął do gardła.

— Już... dosyć — poprosiła.

— Proszę wypić jeszcze — rzekł stanowczo.

Zbyt słaba, by oponować, spełniła jego polecenie. Wzdrygnęła się znowu, ale widać było, że zamroczenie, które doprowadziło do załamania, przechodzi. Kolory zaczęły wracać na jej policzki.

— Przepraszam, że... zachowałam się tak... głupio — odezwała się przestraszonym, niepewnym głosem.

— To zupełnie zrozumiałe — odparł lord Alistair. — Doznała pani wstrząsu. Wróci pani do domu dorożką.

— Och, proszę pana... nas na to... nie stać — zaprotestowała.

— Nie będzie pani musiała płacić. Proszę zostawić to mnie.

Wiedział, że brandy spełniła swe zadanie. Pomagając dziewczynie wstać, ze zdumieniem odkrył, jaka jest lekka. Nadal niezbyt pewnie trzymała się na nogach, więc podał jej ramię, aby mogła się na nim wesprzeć. Poprawił jej na głowie cze-peczek i wygładził zrobioną z taniej bawełny sukienkę.

Wyszli przed dom, gdzie czekała już przywołana przez lokaja dorożka.

— Dziękuję panu bardzo... — powiedziała Ari-na wysuwając rękę spod jego ramienia. — Był pan dla mnie... bardzo... dobry.

— Proszę podać mi swój adres — rzekł. — Muszę powiedzieć dorożkarzowi, dokąd ma jechać i chciałbym później posłać paniom trochę jedzenia i wina.

— Nie... nie... proszę... Nie powinien pan robić sobie kłopotu.

— Chcę to zrobić! — oświadczył zdecydowanie. — Pani musi tylko podać mi swój adres.

— To dom czynszowy przy Bloomsbury Square... tylko na to nas stać... ale jutro musimy się stamtąd wynieść.

— Numer?

— Numer 27... Jeszcze raz dziękuję, że był pan dla mnie taki... dobry.

Arina na pożegnanie podała mu rękę. Nie osłonięta rękawiczką dłoń była bardzo chłodna.

Gdy ją

ujął, wyczuł drżenie jej palców. Podał adres dorożkarzowi i konie ruszyły. Wracał na górę z postanowieniem wysłania dziewczynie nie tylko jedzenia, lecz także pieniędzy. Przynajmniej tyle, by nie głodowała przez następny tydzień. Potem przyznał z ironią, że gdyby nie zgodził się na powrót do ojca, nie byłoby go na to stać. Poleciał Batesonowi, by powiadomił panią, że prosi ją o jak najszybsze spotkanie. Wszedł do salonu. Widok stojących tam kwiatów wywołał w nim gorzką refleksję. Za pieniądze, które na nie wydano, można by kupić wiele posiłków dla Ariny i jej matki. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że śmieszne jest to jego zainteresowanie problemami obcej kobiety. Dość ma teraz własnych trosk. Jakie znaczenie ma dla niego to, że nieznajome kobiety głodują z powodu jakiegoś godnego ubolewania postępuku w przeszłości. Teraz najważniejsze jest, czy Olive zdecyduje się poślubić go za specjalnym zezwoleniem. Dobrze znał kobiety i wiedział, że osoba o takiej pozycji jak Olive nie wyrazi zgody na pospieszne zamążpójście, które dla większości kobiet jest najważniejszym wydarzeniem w życiu. W jego przypadku jednak zawarcie małżeństwa było nie tylko koniecznością, ale nie cierpiącą zwłoki sprawą. Dłuższe zwlekanie mogłoby wywołać

u księcia podejrzenia, że ożenił się, by pokrzyżować jego plany, a to z pewnością nie byłoby dobrym początkiem nowego życia przyszłego naczelnika klanu. Ojciec musi myśleć, że Alistair był już żonaty, gdy dotarło do niego żądanie powrotu na północ, i w tej chwili jest to kluczowa sprawa.

Faulkner z pewnością będzie miał jakieś wątpliwości, bo przecież nie powiedział mu o tym od razu. Jednak ze względu na dawną sympatię Faulknera do niego i jego matki liczył, że starszy pan mimo wszystko go nie zdradzi. Cały plan zaczynał rysować mu się w myślach tak przejrzysto, że mógłby kierować ruchami wojsk, a nie tylko poczynaniami własnymi czy Olive.

Czekał godzinę i kwadrans, zanim przyszła do salonu. W sukni z połyskliwej różowej gazy tak przezroczystej, że ujawniała rozkoszne krągłości jej figury, wyglądała uroczo. Wśród modnych dam popularne było zwilżanie muślinu, aby przylegał ściśle do ciała, ale Olive potrafiła tak wybierać materiały na suknie, że uwydatniały jej wdzięki bez owych sztucznych zabiegów.

Bateson zamknął za nią drzwi, a ona stała nie-poruszona, pozwalając kochankowi podziwiać swój obraz. Po chwili krzyknęła radośnie i rzuciła się ku niemu z wdziękiem baleriny z Covent Garden.

— Alistair! — wykrzyknęła rozradowana. — Jak cudownie, że jesteś!

Zauważył, jak bardzo ton jej głosu różni się od tego, którym przemawiała do Ariny. Natychmiast jednak czerwone wargi uniosły się do jego ust i wabiący wyraz na pół przymkniętych oczu nie pozwolił mu już myśleć o niczym innym.

— Chciałbym ci coś zakomunikować — oznajmił.

— Ja także mam ci coś do powiedzenia.

— Moja wiadomość jest bardzo ważna.

— Co może być ważniejsze od tego, że jesteś tutaj? Nie potrafię też pojąć, dlaczego jeszcze mnie nie pocałowałaś!

— Bo najpierw chcę ci coś powiedzieć.

— Więc mów, Alistair, tylko szybko, bo pragnę cię tak bardzo.

Nieklamana namiętność w jej głosie była tym, co chciał usłyszeć.

— Obaj moi starsi bracia utonęli — zaczął powoli niemal dramatycznym tonem — i jestem teraz markizem Kildonon!

Przez moment wydawało się, że Olive nie zrozumiała go. Potem treść wiadomości dotarła do niej i popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

— To prawda! — potwierdził. — Ojciec przysłał po mnie, bym wrócił na północ. Tak więc, moja słodka, przed podróżą do zamku Kildonon musimy się pobrać, abym mógł przedstawić cię ojcu i klanowi.

Skończył mówić, a Olive nadal milczała. Po chwili wydała dziwny, niepojęty dla niego okrzyk.

— Czy to prawda? Rzeczywiście tak jest? — spytała.

— Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano i jestem tym wstrząśnięty. Ale natychmiast pomyślałem, że teraz możemy się pobrać. Mam ci do zaofiarowania mitrę, której tak zawsze pragnęłaś.

Ku jego zdumieniu Olive nie rzuciła mu się w ramiona, jak oczekiwał, lecz odwróciła wzrok.

— Ubiegłego wieczoru powiedziałam Arthurowi Harrowby'emu, że dam mu dziś odpowiedź. Dlatego właśnie prosiłam cię o przybycie. Chciałam cię powiadomić, że mam zamiar wyjść za niego za mąż.

— Będzie mocno rozczarowany — rzekł lord Alistair. — Wyjdiesz za mnie i będziemy razem, tak jak zawsze tego pragnęliśmy.

Olive podeszła do stołu, na którym stał wielki wazon z różowymi goździkami. Wyciągnęła rękę, by ich dotknąć.

— Za późno! — potrząsnęła głową.

— Jak mam to rozumieć? Jeśli nie przyjęłaś jeszcze Harrowby'ego, wystarczy powiedzieć mu, że odpowiedź brzmi „nie”. Dlaczego nie cieszysz się, tak jak przypuszczałem? — spytał, gdy nie odezwała się słowem. — Przecież tyle razy mówiłaś, jak bardzo mnie kochasz!

— Bo to prawda, Alistairze, ale co innego małżeństwo, a co innego miłość.

— Nie pojmuję — rzekł, a jego oczy nabrały twardego wyrazu.

— Cieszę się, naprawdę się cieszę, że jesteś markizem i pewnego dnia zostaniesz księciem

— rzekła szybko Olive, wpatrując się nadał w goździki. — Ale twój zamek znajduje się w Szkocji, a to bardzo daleko stąd.

— Jest też dom w Londynie i mam zamiar ponownie go ótworzyć.

Olive nie odpowiedziała. Położył ręce na jej ramionach i odwrócił ją do siebie.

_ Co właściwie chcesz mi powiedzieć? — spytał ostro. — Czy mam rozumieć, że po wszystkich twoich zapewnieniach miłości wolisz wyjść za Harrowby'ego niż za mnie?

— To boli! — Olive skrzywiła się pod uściskiem jego rąk.

Lord Alistair potrząsnął nią lekko.

— Odpowiedz mi! — nie ustępował. — Chcę poznać prawdę!

— Boli mnie, Alistairze. To okrutne i nieuprzejme z twojej strony.

_ A więc tak postanowiłaś — rzekł szorstko,

usuwając ręce. — Wychodzisz za Harrowby'ego, bo jest bogaty, a jego dom i posiadłości znajdują się na południu Anglii.

— Spróbuj mnie zrozumieć — zaczęła błagalnym tonem. — Kocham cię, naturalnie, że cię kocham, ale nie mogłabym żyć w Szkocji, gdzie nie miałabym wielbicieli. Tam nikt nie urządza balów i nie ma tam też opery. Poza tym nigdy nie lubiłam zimna.

— A co z miłością? Tą miłością, o której tak często mnie zapewniałaś? Czy już się nie liczy?

— Kocham cię i zawsze będę kochała — powtórzyła Olive. — Nie ma powodu, by nasz związek zmienił się w przyszłości. Arthur jest wiecznie czymś zajęty, więc będę miała mnóstwo czasu dla siebie.

Mówiąc to postąpiła ku kochankowi. Oczy jej zwięzły się, a wargi wygięły w kuszącym uśmiechu.

Lord Alistair cofnął się, oczy pociemniały mu gniewem.

— Gratuluję ci nader zręcznej, profesjonalnej sztuki! Z pewnością nią właśnie podyktowane były twe zapewnienia o szczerości uczuć. Pozwól mi również pogratulować — dodał, a głos jego brzmiał jak cięcie biczem — tytułu markizy Harrowby oraz tego, że zostaniesz damą w buduarze królowej, a w przyszłości bez wątpienia też pierwszą damą londyńskiego towarzystwa! Poza tym pewien jestem, że z wielu podobnych do mnie naiwnych głupców uczynisz wielkich szczęśliwców!

Przy ostatnich słowach wyjął z kieszeni kamizelki klucz i rzucił go na podłogę.

— Klucz do twojego ogrodu. Z pewnością przyda się dziś wieczór. Tylko nie zapomnij zostawić uchylonego okna do tego pokoju!

Odwrócił się i skierował do drzwi.

— Alistair! — krzyknęła Olive.

Lord Alistair nie oglądając się przeszedł przez hol. Chwycił leżący na krześle cylinder, zbiegł po schodach i ruszył przez Park Street.

— Do diabła z nią! — mruknął pod nosem. — Niech diabli porwą wszystkie kobiety!

ROZDZIAŁ 3

Szedł szybko w kierunku Half-Moon Street. Gdy wciąż kipiący gniewem dochodził już do celu, wzrok jego natknął się na sklep z żywnością. Przypomniał sobie obietnicę złożoną Arinie Beverley. Podświadomie czuł, że jeśli jej pomoże, poniży w ten sposób Olive. Z tą myślą wszedł do Shepherd Market. W słynącej z doskonałego mięsa jatce zamówił po kilka kawałków wołowiny i baraniny, do tego jeszcze kurczaka. Dobrze znający go rzeźnik spytał, czy to wszystko, i lord Alistair zawahał się przez chwilę. Przyszło mu na myśl, że gdyby dłużej pomagał Arinie, wykazałby Olive całą jej podłość i okrucieństwo. Wszak zrozpaczona dziewczyna jest powinowatą jej męża.

— Proszę dołożyć do tego dwa funty masła, owoce oraz warzywa i natychmiast wysłać wszystko do mojego mieszkania — polecił.

Szedł do domu rozmyślając o wszystkim, czego był świadkiem. Po raz pierwszy od opuszczenia Park Street pomyślał, że nie życzyłby sobie słyszeć od własnej żony takich słów, jakimi Olive potraktowała córkę swego szwagra. Był zdumiony zachowaniem kochanki. Widział ją zawsze jako osobę czarującą, uroczą i namiętnie kochającą. Teraz spadła z niej maska ogłady i okazało się, że ma przykry charakter, a on mógł sobie jedynie obwiniać o to, że nie dostrzegł tego wcześniej.

Pochlebiał sobie zawsze, że jako Celt ma niezawodny instynkt i nie pozwoli oszukać się żadnemu mężczyźnie ani okłamać kobiecie. Olive okłamała go jednak. Choć nie zostanie jego żoną, będzie go pragnęła i gdy tylko się spotkają, zrobi wszystko, aby znów zwabić go do siebie. Zrozumiał, dlaczego nawet w porywach najdzikszej namiętności nie wierzył, że to prawdziwa miłość. Olive to osoba chciwa i skąpa, zachłanna do tego stopnia, że poślubiłaby samego diabła, gdyby mógł dać jej mitrę, bogactwo i pozycję w wytwornym towarzystwie.

W domu zaskoczył go widok Champkinsa pakującego ubrania do wielkiej skórzanej walizy. Nie dał mu przecież takiego polecenia.

— Ten szkocki dżentelmen wrócił po pana wyjściu, milordzie—wyjaśnił lokaj. — Chciał widzieć się z panem w jakiejś ważnej sprawie i powiedział, że wróci o wpół do siódmej. — Lord Alistair zaci-

snął usta. — Powiedział, że wielmożny pan wyjeżdża jutro rano do Szkocji — kontynuował służący — i że mam szykować rzeczy do drogi.

Lord Alistair stłumił cisnące się na usta słowa wściekłości. Nie dość, że nie ma wyboru i musi podporządkować się rozkazom ojca, ten Faulkner robi się jeszcze bardziej irytujący niż dotychczas. Potem jednak powiedział sobie, że nie ma sensu walenie głową w mur. Może zostać w Londynie i głodować albo zająć należne mu miejsce kolejnego właściciela zamku Kildonon i objąć sto tysięcy akrów szkockiej ziemi.

Po raz pierwszy od zawiadomienia go o śmierci braci, lord Alistair wspomniął potęgę ojca. Wiedział, że rację miała matka, gdy mówiła o jego królewskich nawykach. Rzeczywiście ojciec był „królem wszelkiego stworzenia” i mimo obowiązującego angielskiego prawa, ludzie do niego przychodzili po sprawiedliwość. Jako naczelnik klanu sam stanowił o wszystkim, co ich dotyczyło. Postanowił dokonać wielu zmian. O ile rozum przyjął jego nową sytuację, serce buntowało się przeciw związanym z nią ograniczeniom.

Stał w swoim salonie myśląc o tym, jak bardzo kocha tutejsze życie, ile rozkosznych godzin spędził tu z przyjaciółmi i pięknymi damami. Kobiety przychodziły zawsze po zmroku, mocno zawoalowane, lecz wystarczająco odważne, by zaryzykować swą reputację i małżeństwo.

Dla Olive jednak niewiele znaczy to, co ma jej do zaofiarowania. Trudno mu było w to uwierzyć, a jeszcze trudniej pogodzić się z tym, że wybrała Harrowby'ego.

— Niech ją piekło pochłonie! — wykrzyknął. Świadomość, że potrafiła wywołać w nim takie emocje, rozzłościła go jeszcze bardziej.

Głośne pukanie do drzwi oderwało Champkinsa od pakowania. Lord Alistair wiedział, że przyniesiono sprawunki, które zamówił dla Ariny Beverley. Powiedział lokajowi, aby niezwłocznie przygotowano mu powóz.

Po upływie dwudziestu minut powóz czekał przed wejściem. Był to kolejny nie zapłacony jeszcze nabytek. Lord Alistair odjeżdżał spod domu z koszem u stóp i siedzącym obok stangretem, myśląc, że ojciec zapłaciłby i za to, żeby tylko mieć go u siebie z powrotem. Radością było powożenie dwoma doskonałymi końmi, gdy nie musiał myśleć o tym, czy wysłać je do Szkocji, czy też sprzedać przed swoją podróżą. Nosił się wprawdzie z zamiarem ponownego otworzenia domu Kildononów w Park Lane, miał jednak świadomość, że musi na to uzyskać zgodę ojca, a przeczucie podpowiadało mu, że ojciec kategorycznie się temu sprzeciwi.

— Do diabła, muszę być choć trochę niezależny! — mruknął.

Mówił te słowa wiedząc, że to tylko jego niczym nie uzasadniona brawura. Gdy znajdzie się z powrotem na zamku, będzie żył jak dawniej; pod władzą monarchy opętanej myślą o własnym znaczeniu i wielkości Szkocji.

Nietrudno było znaleźć Bloomsbury Square 27. Prezentujący się marnie, wymagający natychmiastowego malowania dom miał brudne okna i takie same schodki. Lord Alistair spoglądał na obskurną posesję, zastanawiając się przez chwilę, czy nie zostawić po prostu kosza i odjechać. Przypomniawszy sobie, że Olive potraktowała Arinę Beverley równie źle jak jego, i usta wykrzywił mu cyniczny grymas. Już on znajdzie subtelny sposób powiadomienia jej o własnej szlachetności.

Wiedział, że starczy tylko powiedzieć wieczorem w klubie paru plotkarzom, jak to dowiedział się o rozpaczliwym położeniu żony szwagra Olive i jej córki, by ta pikantna wiadomość natychmiast zaczęła krążyć z ust do ust.

Wszystkim było wiadomo, że sir Robert Beverley zostawił żonie spory majątek obciążony niepodważalną klauzulą o jego utraceniu w przypadku powtórnego małżeństwa. Z klauzuli tej korzystali najczęściej mężowie pięknych młodych żon i nie wywoływało to już żadnych komentarzy. Olive była w tym czasie pod nieustanną obserwacją uważnych oczu.

Odmówienie pomocy szwagierce i jej córce

stałoby się bez wątpienia tematem zawistnych plotek dla kobiet, które jej zazdrościły, i dla mężczyzn, których awanse odrzuciła.

Usta lorda Alistaira wykrzywił okrutny grymas, a w spojrzeniu pojawił się twardy wyraz. Wsiadł z powozu. Ben pociągnął za dzwonek i przyniósł pod drzwi kosz. Teraz z lejcami w rękach zajął miejsce pana, przygotowując się do krążenia po placu, zanim ruszą w powrotną drogę do domu.

Niechlujna służąca, wyglądająca, jakby usuwała sadze z komina, pojawiła się w drzwiach.

— Chcę rozmawiać z panną Ariną Beverley

— rzekł lord Alistair.

— Znajdziecie jom na trzeciem piętrze, panie

— powiedziała dziewczyna, wyciągając odruchowo kciuk w stronę wąskich brudnych schodów.

— Domyślam się, że to jej sypialnia — rzekł lord Alistair. — Musi tu być jakieś miejsce, gdzie mógłbym porozmawiać z młodą damą.

Dziewczyna przyglądała mu się w osłupieniu. Budzący szacunek wygląd mężczyzny zrobił jednak na niej wrażenie.

— No, je paniusi salun — powiedziała z wahaniem — ale nie ma ich w ten moment.

— Jestem pewien, że nie będzie miała nic przeciwko temu, bym z niego skorzystał — stwierdził lord Alistair zdecydowanie. — Wprowadź mnie do niego.

Stanowczość gościa odebrała dziewczynie możliwość oporu i niezdolna do sprzeciwu otworzyła drzwi w drugim końcu holu. Wprowadziła Alistaira do małego, ale dość wygodnie urządzonego saloniku. Zapchany tanimi obrazami i porcelaną sprzedawaną przez domokrażców, nie sprawiał wrażenia używanego.

— Sprowadź pannę Arinę—poleciał lord Alistair — i zanieś na górę kosz, który przywiozłem ze sobą.

Wyciągnął z kieszonki kamizelki pół gwinei i wcisnął w rękę dziewczyny. Przez chwilę patrzyła na monetę, jakby zastanawiała się, czy nie śni. Twarz jej poczerwieniała z podniecenia.

— Ta, panie, ta, sir! — powiedziała zmienionym głosem. — Zara tu sprowadzę te młode dame!

Pospieszyła na górę z ciężkim koszem, jakby bała się, że gość zmieni zdanie i zażąda zwrotu pieniędzy. Lord Alistair kolejny raz pomyślał, że gdyby nie wyjazd do Szkocji, nie mógłby tak szastać pieniędzmi. Potem jego myśli wróciły do Olive. Zdawał sobie sprawę, że z premedytacją niszczy teraz wizerunek, który Olive wykreowała ze swej urody, wesołości, uroku i własnej pozycji społecznej.

— Markiza Harrowby ! — rzekł głośno, a jego głos zabrzmiał szyderczo.

Potem uznał, że traci czas myśląc o Olive. Powinien zająć się własnymi niewesołymi sprawami i stojącą przed nim koniecznością poślubienia ko-

biety z wrogiego McDononom klanu. Przez wieki toczyli walki, zabierając sobie w krwawych wypadach kobiety i porywając bydło. Rozumiał pragnienie ojca, żeby położyć kres nienawiści i urazom między jego ludźmi a McNainami.

— Ale nie moim kosztem! — zaprotestował głośno. W tym momencie do pokoju weszła Arina Beverley.

Zauważył, że przebrała się z bawełnianej sukienki, w której ją widział, w białą muślinową. Zwiotczały od częstego prania materiał przylegał do figury dziewczyny w sposób, który Olive i inne kobiety z wyższych sfer uważały za modny. Materiał był miejscami przetarty i znający się na kobiecej odzieży Alistair pomyślał, że dziewczyna oszczędza zapewne lepszą sukienkę na inne okazje. Najwyraźniej nie spodziewała się, że osobiście przyniesie jej obiecane jedzenie. Złożyła przed nim lekki, lecz pełen wdzięku ukłon.

— Jest pan taki... dobry, że przyniósł dla nas ten... wielki kosz. Wprost nie wiem... jak mam panu dziękować.

— Zawsze spełniam złożone obietnice — odparł lord Alistair. — Cieszę się, że sprawiłem pani przyjemność.

— Przyjemność? — zdziwiła się dziewczyna. — To jak dar od... Boga... I jestem pewna, że mama poczuje się... lepiej.

— Pani również — powiedział. — Stanowczo potrzebuje pani dobrego odżywienia.

Uśmiechnęła się, a on zauważył ze zdumieniem, jak jej twarz przy tym wyładniała.

— Spojrzałam tylko na kosz, zanim zeszałam do pana — rzekła — ale już czuję się bardzo... głodna.

Pomyślał, że gdyby nie wychudzenie dziewczyny, wystające kości policzkowe i zbyt ostro zarysowany podbródek, mogłaby być piękną. Niemal natychmiast się poprawił. Jest piękną.

Teraz, gdy lepiej się przyjrzał, dostrzegł niezwykłość jej wyglądu. Nie potrafiłby tego określić, ale wiedział, że jest piękna urodą odmienną od innych kobiet, które znał. Nawet w taniej, przetartej sukience, z nie upiętymi włosami mogłaby zająć wśród nich poczesne miejsce.

Często znane mu kobiety tworzyły w jego umyśle galerię obrazów. Chodził między nimi i patrząc w sportretowane twarze rozpoznawał każdy zapamiętany szczegół urody. Oczy jednej z jego kochanek sprawiały wrażenie tajemniczych otchłani i smutkiem napełniało go jej wspomnienie. Była wprawdzie piękna, lecz gdy poznał ją lepiej, okazało się, że jej oczy nie kryją w sobie żadnej tajemnicy. Usta innej wyglądały, jakby wyszły spod dłuta greckiego rzeźbiarza, nos trzeciej był z pewnością bardziej uroczy od nosa Kleopatry. Rude włosy piękności, z którą romansował dłuższy czas,

przypominały ogień, który zapalał się w nim, gdy jej dotykał.

Arina była piękna młodą i gdyby nie wychudzenie oraz bladość cery, powiedziała, że wiośnianą urodą. Włosy koloru słońca o wczesnym poranku były słabe, bowiem tak samo jak cały organizm potrzebowały odżywienia.

Dłuższą chwilę trwało, zanim uświadomił sobie, że dziewczyna patrzy na niego lękliwie.

— Czy powiedziałam coś... złego? — spytała niepewnym głosem.

— Nie, oczywiście że nie — uspokoił ją. — Myślałem o pani kłopotach i o tym, jak zwróciła się pani do lady Beverley o pomoc. Mimowolnie wysłuchałem wszystkiego z sąsiedniego pokoju.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem i odwróciła wzrok.

— To niemądre, że... do niej poszłam... Nie wiedziałam, co robić.

— Moim zdaniem to bardzo nieładnie z jej strony, że pani nie pomogła — rzekł lord Alistair szorstko.

— Miałam nadzieję, że to... zrobi — wyjaśniła Arina z prostotą — Ale... rodzina Beverleych nigdy nie wybaczyła papie i mamie, że... uciekli razem.

— Uznali czyn pani ojca za tak haniebnny? — spytał. — Proponuję, żebyśmy usiedli — dodał,

zanim zdołała odpowiedzieć. — Z pewnością po tych przejściach czuje się pani wyczerpana.

— To bardzo... miłe z pana strony, że... pan o mnie myśli — powiedziała — ale nie tyle jestem zmęczona, ile... martwię się o mamę i nie wiem... co mam z nią zrobić.

Usiadła w fotelu przed kominkiem. Lord Alistair zajął miejsce naprzeciwko.

— Proszę mi opowiedzieć o ojcu — rzekł łagodnie.

— To stało się dawno temu, ale chyba... nikt mu tego do tej pory... nie wybaczył — zaczęła spoglądając na złożone na kolanach ręce. — Był zaręczony z córką księcia Cumbrii.

Lord Alistair zdumiał się. Wiedział, że rodzina Beverley należy do szanowanych na północy, podejrzewał jednak Olive o wyolbrzymianie ich znaczenia i nie przypuszczał, że obracają się w tych samych arystokratycznych kręgach co on.

— Myślę — podjęła Arina cichym miękkim głosem — że lady Mary była bardziej zakochana w papie niż on w niej i że to jego rodzice wraz z bratem dążyli do tego związku, gdyż imponował im książę.

— Proszę mówić dalej — zachęcił dziewczynę Alistair, dla którego to wyjaśnienie było bardzo prawdopodobne.

— Na dwa tygodnie przed ślubem — podjęła jakby z większą odwagą — kiedy zaczęły już przychodzić prezenty i ustalono, że ślubu udzielać będzie arcybiskup Yorku, papa poznał moją mamę.

Lord Alistair pomyślał, że takie rzeczy często się zdarzają, ale niewielu mężczyzn ma odwagę tak postąpić.

— Mama mówiła, że była to dla nich... wielka i beznadziejna miłość — kontynuowała Arina. — Obydwoje wiedzieli, że nie potrafią żyć bez siebie.

— A więc uciekli!

— Tak... uciekli... i wzięli ślub w Gretna Green, niedaleko od Beverley na północy Yorkshire.

— Wyobrażam sobie, jakim gniewem musiała pałać zarówno porzucona narzeczona, jak rodzina pani ojca.

— Byli tak zagniewani, że dziadek nigdy nie rozmawiał już z tatą... a wuja nie poznałam aż do dnia... pogrzebu taty.

— Słyszałem, jak mówiła pani o tym ciotce — rzekł lord Alistair. — Słyszałem też, że ojciec pani otrzymywał od rodziny pensję.

— Sądziłam zawsze, że to... z inicjatywy jego matki — powiedziała Arina — i chociaż pieniędzy mieliśmy bardzo mało, jakoś dawaliśmy sobie radę i byliśmy bardzo... szczęśliwi. Aż do... śmierci papy.

— Wtedy pieniądze przestały przychodzić?

— Tak.

— Jakie powody przedstawiono?

— Kiedy napisałam do adwokatów z pytaniem, dlaczego... zostały wstrzymane, odpowiedzieli, że teraz, gdy papa... nie żyje, rodzina Beverley nie ma żadnych zobowiązań ani w stosunku do mamy, ani do mnie.

Głos dziewczyny zamarł przy tych słowach. Złożyła ręce, zanim podjęła znowu.

— Sprzedałyśmy wszystko, co miało jakąkolwiek wartość... i jeśli mama nie zostanie szybko zoperowana... guz w jej piersi będzie... rósł coraz bardziej i mama... umrze! I choć modłę się stale... nie wiem, skąd mogłabym zdobyć pieniądze teraz, gdy lady Beverley nam odmówiła...

Rozpacz i przerażenie brzmiące w jej głosie zdawały się wypełniać niewielki pokój. W namacalnej niemal ciszy lord Alistair rozważał odpowiedź.

— Dam pani te dwieście funtów! — oświadczył po chwili.

Była bardzo zaskoczona. Patrzyła na niego przez chwilę, jakby źle zrozumiała jego słowa.

— Nie, nie — rzekła szybko. — Naturalnie, że nie... Jak mogłabym prosić pana... nieznajomego człowieka, by dał nam... tak dużo!

— Czy mam powiedzieć, że to akt chrześcijańskiego miłosierdzia? — Lord Alistair nie mógł pozbyć się kpiny w głosie.

— Ale przecież wie pan, że... bardzo wiele czasu upłynie, zanim.... będę w stanie... zwrócić panu te pieniądze. Muszę znaleźć jakąś pracę... a to przecież... niełatwe.

— Jestem przygotowany na czekanie.

— Naprawdę da je nam pan na... ratowanie życia mamy? Jak mam panu dziękować? Jak mam wyrazić, że... to cudowne z pana strony, iż... odpowiedział pan na moje modlitwy? Była bardzo wzruszona, a w zielonych oczach pojawiły się łzy, które nadały im takiego blasku, że lord Alistair patrzył na nią jak urzeczony. Nagle powstała mu w głowie pewna myśl, tak zdumiewająca a zarazem tak skandaliczna, że wręcz nieprawdopodobna. Gdy wreszcie pojął w pełni swą ideę, miał wrażenie, że to on uzyskał odpowiedź na własne modlitwy.

— Proszę posłuchać — powiedział, pochylając się w fotelu. — Mam pewien pomysł. Pani potrzebuje mojej pomocy i tak się składa, że mnie też potrzebna jest pani pomoc.

— Oczywiście, że panu pomogę... jeśli tylko będę w stanie. Pan wie, że uczynię wszystko, bo przecież był pan taki dobry... tak niewiarygodnie dobry.

— Doskonale — przerwał. — Tylko niech mi pani odpowie na jedno pytanie. Dokąd pani pójdzie, gdy matka pani uda się do domu opieki?

— Myślałam, że jeśli lekarz ją weźmie tak jak obiecał, poszukam taniego pokoju w pobliżu, abym mogła być przy niej. Ale powiedział — podjęła po chwili przerwy — że jeśli nie zdobędę dość... pieniędzy, da mi pokoik w domu opieki. Chociaż nikt mi tego jeszcze nie proponował, myślę, że mogłabym w jakiś sposób... pomagać tam. Może przy sprzątanii... Nie byłabym wtedy jego... dłużniczką.

Lord Alistair wysłuchał cierpliwie nieskładnych słów dziewczyny.

— Mam lepszą propozycję i chciałbym, żeby rozważyła ją pani bardzo dokładnie — rzekł.

— Pragnę zaproponować pani odegranie pewnej roli. Prawie jak na scenie, chociaż nie będzie to przedstawienie w teatrze.

Dziewczyna patrzyła na niego oszołomiona, ale nie odezwała się.

— Proponuję, by oddała pani matkę w ręce lekarzy, co ją także uwolni od troski o panią. Natomiast pani wyjechałaby ze mną na jakiś czas do Szkocji z wizytą. Jeśli odegra pani swą rolę zgodnie z moimi wymaganiami, zapłacę za operację pani matki.

Arina westchnęła cicho z wielkiej radości, lecz nic nie powiedziała i lord Alistair mówił dalej.

— Zapłacę też za rekonwalescencję w dobrych warunkach, a gdy pani do niej wróci, starczy wam pieniędzy na dobre odżywianie.

— To brzmi... cudownie! — wyszeptała Arina. — Ale jeśli... nie będę potrafiła zrobić tego, co pan... chce?

— Nie będzie to łatwe — przyznał — jestem jednak pewien, że uda się pani przekonać ludzi, z którymi się pani spotka, że jest osobą, za którą się podaje.

— Mam udawać... że jestem kimś innym? — spytała zaskoczona dziewczyna.

— Będzie pani odgrywać rolę mojej żony!

Wymawiał te słowa powoli i widział, jak dziewczyna sztywnieje. Znów patrzyła na niego, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

— Pana... żony?

— Zmieniła się nie tylko pani sytuacja, ale również moja — wyjaśnił. — Nie dotarło jeszcze do publicznej wiadomości, że moi bracia nie żyją i jestem teraz markizem Kildonon. — Zrobił pauzę, spodziewając się pełnego podziwu spojrzenia, ale w jej wzroku dostrzegł tylko zmieszanie. — Ojciec mój, książę Strathdonon, kazał mi wrócić do Szkocji. Zamierzają zmusić mnie do przejęcia zobowiązań, które mój brat podjął przed śmiercią. Mam poślubić córkę naczelnika sąsiedniego klanu, z którym zawsze prowadziliśmy wojnę. Pani może tego nie rozumieć, ale słowo naczelnika klanu w Szkocji równe jest przysiędze kościelnej.

— Rozumiem to... — skinęła głową Arina.

— Dlatego też nie mogę odmówić poślubienia tej kobiety, chociaż nigdy jej nie widziałem. Najlepszym sposobem uniknięcia tego małżeństwa będzie przywiezienie do Szkocji żony.

— Tak... to rzeczywiście dla pana jedyna droga... ratunku.

Zadowolony pomyślał, że dziewczyna jest bystrzejsza, niż się spodziewał.

— Powiniennem wyjechać jutro rano, a gdy znajdę się w zamku ojca, nie będzie już dla mnie odwrotu.

— Nie... nie mogę wyjechać jutro rano.

— To prawda, doskonale to rozumiem.

— Poza tym — podjęła, nim zdążył cokolwiek jeszcze powiedzieć — nie mam pewności, czy jestem właściwą osobą... Czy potrafię to dla pana zrobić... Mogę pana zawieść. No i... nie będę się dobrze prezentować.

— Jak wszystkie kobiety — uśmiechnął się w odpowiedzi — myśli pani o swym wyglądzie. Przyrzekam, że będzie pani ubrana tak, jak należy tego oczekiwać od mojej żony.

— Aleja... nie będę mogła... za to zapłacić.

— Ja się tym zajmę, a jeśli będzie pani mieć jakiegokolwiek skrupuły z powodu moich podarunków, proszę pomyśleć, że każdy właściciel teatru jest przygotowany na ubranie swojej czołowej aktorki.

Żartobliwy ton lorda Alistaira nie wywołał uśmiechu na twarzy Ariny.

— Chciałabym panu pomóc — powtórzyła

— ale myślę, że... dla pana nie będzie to... dobre.

— Wszystko, co może uratować mnie od poślubienia nieznanej Szkotki, będzie dla mnie dobre

— rzekł stanowczo.

— A... a co później? — spytała dziewczyna.

— Będę musiała... wrócić do mamy?

Lord Alistair zauważył, że znów zadała rozsądne pytanie.

— Będziemy musieli wszystko dokładnie opracować — powiedział. — Rozwazałem już możliwość pani zniknięcia w momencie, gdy niebezpieczeństwo mojego szkockiego małżeństwa zostanie zażegnane,

— Tak... oczywiście — przytaknęła Arina.

— Nikt nie będzie się interesował... co się ze mną stało.

— Pojedzie pani na południe, żeby zobaczyć się z matką — lord Alistair mówił powoli, rozważając starannie każde słowo — potem pani zachoruje i pośle po mnie. Kiedy przyjadę do pani na południe, powiadomię ojca i wszystkich zainteresowanych, że pani zmarła.

— I... uwierzą panu?

— Miejmy, nadzieję, że tak — rzekł twardo. — Jeśli zgodzi się pani — podjął po chwili — dam

nie dwieście funtów, o które pani prosiła, ale pięćset. Zostaną ulokowane w banku na nazwisko pani matki. Gdy nasza umowa wygaśnie, dopilnuję, by płacono, pani co miesiąc sumę zapewniającą warunki zbliżone do tych, jakie miałyście za życia ojca.

Z tego co o niej wiedział, mógł być pewien, że pomaganie jej nie uszczupli zbyt jego zasobów. Poza tym markizowi Kildonon łatwo będzie przeznaczyć taki fundusz z wielkiej pensji, jaką ojciec zapewne wyznaczy swemu dziedzicowi. Nie miał wprawdzie pojęcia, jak wielka jest ojcowska fortuna, zawsze jednak uważał go za człowieka bardzo bogatego. Gdy wielu szkockich naczelników klanów zbiedniało po bezwzględny tłumieniu powstania Karola Edwarda Stuarta, pochodzące z wielu źródeł dochody księcia sprawiły, że nie dotknęła go powszechna w Szkocji bieda.

— Opieka nad panią i jej matką będzie sprawowana do chwili, gdy wyjdzie pani za jakiegoś bogatego człowieka — zakończył.

— Uważam, że to raczej mało prawdopodobne

— odparła Arina. — Prowadziliśmy zawsze bardzo skromne życie, a nasi przyjaciele, choć lojalni i dobrzy, są ludźmi równie biednymi jak my. — Zamilkła, lecz po chwili uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Ale byliśmy szczęśliwi... i tylko to było ważne.

— To zrozumiałe — zgodził się lord Alistair.

— Teraz jednak musimy wrócić do naszych pla-

nów. Kiedy pani matka może udać się do domu opieki?

— Choćby już... gdybym miała pieniądze. Dlatego właśnie poszłam do lady Beverley... Każdy dzień oddalający operację mamy to... Guz rośnie coraz większy i... jest coraz gorszy.

Mimo że dziewczyna mówiła bardzo cicho, lord Alistair słyszał czające się w jej głosie przerażenie.

— W takim razie proponuję, by zawieźć ją tam jutro z samego rana — powiedział. — Tylko proszę nie mówić jej, co panią czeka. Nie trzeba jej martwić. Niech pani powie, że lady Beverley nie tylko pożyczyła pieniądze na operację, ale była tak dobra, że umieściła panią u przyjaciół poza Londynem.

— Mama na pewno w to uwierzy — skinęła głową Arina. — Jest taka słaba i chora, że nie potrafi w tej chwili zbyt jasno... myśleć.

— To wszystko znacznie upraszcza — stwierdził lord Alistair. — Kiedy już pani matka znajdzie się w domu opieki, wróci pani tutaj. Przyjadę, żeby zabrać panią na zakupy przed podróżą do Szkocji.

Arina nie odpowiedziała. Gdy opuściła oczy pod jego spojrzeniem, zrozumiał, że jest speszona myślą o kupowaniu przez niego odzieży dla niej. Wydawała się też zakłopotana, gdy proponował zapłacenie za operację matki, ale ponieważ nie odezwała się ani słowem, wywnioskował, że dziewczyna jest do-

brze wychowana. Była damą nie tylko z urodzenia, lecz i z edukacji odebranej w konwencjonalnych manierach, a tego właśnie oczekiwał od kobiety mającej uchodzić za jego żonę.

— Muszę panią uprzedzić, że trzeba jeszcze podjąć pewne środki ostrożności, żeby zabezpieczyć się przed czymś, o czym dopiero w tej chwili, sobie przypomniałem.

— Przed czym?

— W Szkocji istnieje prawo znane jako „małżeństwo przez oświadczenie przed świadkami”. Oznacza ono, że jeśli dwoje ludzi oświadczy w obecności innych, że są małżeństwem, są w istocie prawnie poślubieni.

— Co w takim razie zrobimy, gdy pan przedstawi mnie... jako swoją... żonę, a ja przytaknę? To może się okazać bardzo... trudne dla pana... w przyszłości.

— Będzie trudne tylko wtedy, jeśli nie dotrzyma pani naszej umowy — odparł lord Alistair. — Dlatego właśnie powinniśmy podpisać obowiązującą obie strony umowę, w której zawarte będą instrukcje dla pani i zastrzeżenie, że żadne z nas, bez względu na okoliczności, nie będzie później twierdzić, iż jesteśmy prawnie mężem i żoną.

— Brzmi to tak, jakby podejrzewał pan, że ja... mogłabym... nie dotrzymać naszej umowy

— zauważyła Arina.

Uderzyło go, jak szybko pojęła, że broni się przed wszelkimi roszczeniami, które mogłaby przedstawić mu w przyszłości.

— Nie myślałem o pani — skłamał — ani o mnie, tylko o kimś, kto mógłby robić mi kłopoty po pani odejściu.

Dostrzegł na jej twarzy ulgę i pomyślał, że dziewczyna jest bardzo wrażliwa. Będzie musiał odnosić się do niej z większą rozwagą.

— Cieszę się bardzo — zaczęła Arina z wahaniem — na podpisanie tej umowy, jak pan... to nazywa... i chcę zapewnić pana... że nigdy, pod żadnym pozorem... nie będę tak niewdzięczna, by zrobić coś... czego pan nie będzie sobie życzył.

— Dziękuję — powiedział. — Przyniosę ją ze sobą jutro, jak już będę wiedział, że jest dobrze sformułowana pod względem prawnym.

Przy tych słowach wstał z fotela. Arina podniosła się również, jakby przypomniała sobie nagle, do czego została zobowiązana.

— Czy pan całkowicie... całkowicie jest pewien, że potrafię to dla pana zrobić? — spytała.

— Proszę zrozumieć, że nic nie wiem o... świecie, w którym pan żyje. Będę... popełniać błędy... może nawet narobię panu... wstydu.

— Na pewno nie — uspokoił ją. — A jeśli chodzi o wdzięczność, jest ona obopólna, Arino. Do-

myślą się pani zapewne, jakie poniżające byłoby dla mnie zawarcie małżeństwa z nieznaną osobą.

— Tak... naturalnie... myślę, że papa... zrozumiałby... że robi pan wszystko, by... uciec.

— Tak jak on uciekł — uśmiechnął się lord Ali-stair. — Myślę, że wykazał wielką odwagę.

— Naprawdę tak pan uważa? I nie jest pan... przerażony i... wstrząśnięty, tak jak jego rodzina?

— Naturalnie, że nie! Według mnie postąpił słusznie i straszne jest, że tyle lat cierpiał z powodu czynu, który większość ludzi uznałaby za bardzo romantyczny i honorowy. Oczy Ariny rozjarzyły się takim blaskiem, jakby zapłonęło w nich tysiąc świec.

— Jest pan taki... wyrozumiały i... taki dobry — powiedziała. — Jaka szkoda, że papa nie może pana usłyszeć. Kiedy mama... wyzdrowieje... powiem jej o tym.

— Tak, musi pani to zrobić — zgodził się lord Alistair — ale nie teraz. Nie powinna znać nawet mojego nazwiska... Mogłaby zacząć mówić o nas.

— Nie robi tego, jeśli ją poproszę — odrzekła Arina. — Ale jest teraz chora i lepiej jej nie niepokoić. Myślę, że mamie — dodała odwracając oczy z zakłopotaniem — nie podobałoby się to, co mam zrobić. Tylko... nie mam innego sposobu, by jej pomóc... Byłam taka zrozpaczona, dopóki... pan się nie pojawił.

— Nie powiedziała pani matce, że lady Beverley odmówiła pomocy?

— Właściwie nie powiedziałam mamie nawet, że poszłam się z nią spotkać. Myślałam, że jeśli się zgodzi, będzie to dla mamy cudowną niespodzianką, ale załamałaby się, gdyby wiedziała, że odmówiła.

— To bardzo rozsądne z pani strony — rzekł lord Alistair z uznaniem — i zarazem ułatwia nam to, co mamy zrobić — uśmiechnął się do niej urzekająco. — Proszę teraz iść na górę — polecił — przygotować coś do jedzenia dla mamy i oczywiście dla siebie. Bardzo mi przykro, ale zapomniałem o winie, które pani obiecałem. Może teraz nie byłby to odpowiedni czas na picie wina, więc załatwię to w drodze do Szkocji..

— Dziękuję, ale dostałyśmy wszystko, czego nam potrzeba. Mam tylko nadzieję, że namówię mamę na jedzenie. Wiem, że wzmocni to jej siły przed jutrzejszym pójściem do domu opieki.

Lord. Alistair wyjął z kieszeni dwa pięćdziesiąt-ciofuntowe banknoty i położył na stole.

— Proszę dać to chirurgowi — rzekł. — To połowa należności. Resztę przyniosę jutro. — Dołożył jeszcze kilka złotych monet i powiedział: — Proszę zawieźć matkę wygodną dorożką. Niech na panią poczeka i odwiezie z powrotem do domu. Przyjadę po panią koło południa i zapłacę, co jesteście winne gospodyni.

Dziewczyna spojrzała na pieniądze i łzy popłynęły jej z oczu.

— Nie mogę... nie mogę uwierzyć — powiedziała łamiącym się głosem — że to się naprawdę dzieje... że ja nie śnię.

— Przysięgam, że nie zniknie jak złoto ze snów — rzekł lord Alistair. — Arino, niech pani teraz robi dokładnie to, co powiem. Kiedy pojedzie pani ze mną, proszę wszystko zostawić mnie. Potem wróci pani, aby spotkać się z matką dochodzącą do siebie po operacji, i będziecie już razem bez żadnych kłopotów. Pani błagania zostały właśnie wysłuchane, ale niech pani nie ustaje w modlitwach.

— Będę się modlić... i dziękować Bogu za... pana — powiedziała stłumionym głosem. Uśmiechnął się do niej i wyszedł z saloniku. Zamknął cicho za sobą drzwi, by dać jej czas na otrząśnięcie się z oszołomienia i zebranie pieniędzy ze stołu.

Jego stangret kończył właśnie piąty objazd placu. Wskoczył na siedzenie powozu i wziął od niego lejce. Podciął konie i gdy ruszyły ostro w stronę Mayfair, znowu zaczął się zastanawiać, jak zranić Olive. Obmyślał, co powie później w klubie. Radował się, że kompromitujące wieści będą powtarzane w nieskończoność, jakby roje os roznosiły zatruty pyłek na wszystkie języki tego rozgadanego wytwornego towarzystwa.

ROZDZIAŁ 4

Gdy dojeżdżał do domu, nie myślał już o Olive. Pochłonięty był tym, co ma powiedzieć zarządcy ojca. Szedł na górę z ponurym wyrazem twarzy. Czekający w saloniku Faulkner pospiesznie opuścił czytaną gazetę i poderwał się z fotela.

Lord Alistair podszedł do biurka, by położyć na nim listy, które po drodze zabrał z holu.

— Rozumiem — zaczął nieco agresywnym tonem — że powiedział pan mojemu służącemu, iż jutro rano wyjeżdżam z panem do Szkocji.

— Przepraszam bardzo, jeśli wyjawilem to wbrew pana woli, milordzie — rzekł powoli Faulkner. — Gdy wychodziłem stąd rano, sądziłem, że zgodził się pan na powrót do Szkocji, a to oznacza, że powinniśmy wyjechać jak najszybciej.

— Ma pan rację — odrzekł lord Alistair — tyle że wyjazd jutro jest dla mnie niemożliwy, a nie są-

dzę, by dwudziestoczwierogodzinna zwłoka miała spowodować trzęsienie ziemi.

Faulkner zdawał się być zaskoczony drwiącym tonem jego głosu.

— Niech pan siada — rzucił lord Alistair. — Muszę panu coś powiedzieć.

Mężczyzna spełnił polecenie i patrzył na niego z zaciekawieniem. To interesujące — pomyślał Alistair — że mimo onieśmielającego wszystkich zachowania ojca, taki inteligentny i wykształcony człowiek jak Faulkner jest mu tak bardzo oddany. Nigdy o tym nie myślał i wzruszyło go przywiązanie tego człowieka do rodziny McDononów.

Łagodniejszym już głosem podzielił się swą wiadomością inaczej, niż pierwotnie zamierzał.

— Obawiam się — zaczął — że to, co mam do powiedzenia, będzie dla pana wielkim zaskoczeniem. Z pewnością nie przypuszczał pan, że jestem człowiekiem żonatym!

— Jest pan żonaty, milordzie? Pański ojciec nic o tym nie wie!

— A dlaczego miałby wiedzieć? — spytał lord Alistair. — Od kiedy ukończyłem dwanaście lat, przestał się mną interesować.

— Jego miłość nie tylko interesował się tym, jak się panu powodzi, ale regularnie otrzymywał na ten temat raporty.

__ Czy mam przez to rozumieć — spytał zdumiony Alistair po chwili — że ojciec mnie szpiegował?

Twarz Faulknera przybrała lekko zdegrustowany wyraz.

_ To ostre słowo, milordzie. Ja wolę myśleć

o tym jako o ojcowskim zainteresowaniu jego miłości najmłodszym synem.

— To wprost nie do wiary! — wykrzyknął lord Alistair i zaczął się śmiać. - Czyż to nie odwieczna historia, Faulkner? Stary pająk nie wypuszcza małych ze swej sieci. Podczas gdy ja żyłem w przekonaniu, że całkowicie uwolniłem się od ojca, klanu i problemów Szkocji, on bezustannie omotywał mnie swą siecią, nie pozostawiając mi drogi ucieczki.

Mówił te słowa zdziwiony, że nigdy przedtem nie przyszło mu to do głowy. A przecież powinno zastanowić go, że mimo śmierci matki nadal wypłacał mu pensję. Musiał więc wiedzieć, iż pewnego dnia syn powróci do domu. Czy to z własnej woli, czy też pod przymusem.

— Czy pan rzeczywiście powiedział, że jest żonaty, milordzie? — przerwał jego rozmyślenia Faulkner.

— Tak, Faulkner, to właśnie powiedziałem! Szpiegzy mojego ojca nie wykryli tego, gdyż małżeństwo zawarte zostało w tajemnicy. Nawet mój

służący, który teraz na pana polecenie zajmuje się pakowaniem, nie ma pojęcia o istnieniu mojej żony.

— Ale zabierze ją pan do Szkocji, milordzie?

— Naturalnie! Teraz rozumie pan, dlaczego nie będę mógł poślubić lady Moraig McNain. Z pewnością zburzy to plany ojca związane z moją osobą — mówił lord Alistair z pewnym zadowoleniem — ale nie mogę nic na to poradzić; chyba że popełniłbym bigamię.

— Milordzie, nie będę przed panem krył

— odezwał się po chwili ciężkiego milczenia Faulkner, nie reagując na żartobliwy ton Alistaira — że ta wiadomość wstrząsnęła mną. Ma się rozumieć, że markiza Kildonon powitana zostanie z należnymi jej honorami. Mam nadzieję, że przywyknie do Szkocji i do zaniku.

— To się okaże — odparł lord Alistair wyniośle.

— Rozumie pan jednak, że moja żona również musi się spakować, nie możemy więc wyjechać wcześniej niż pojutrze.

Plenipotent ojca wyraźnie ucieszył się, że nie później.

— Czy nie będzie wścibstwem, jeśli zapytam pana, milordzie — odezwał się mężczyzna z wyraźną obawą w głosie — dlaczego pana małżeństwa musiało być tajemnicą?

Lord Alistair zmrużył oczy. Domyślał się, że plenipotent ojca wyobraża sobie, iż poślubił aktorkę

lub kobietę nie do zaakceptowania w towarzystwie i teraz zastanawia się gorączkowo, jak zareaguje na to ksiązę. Spodziewając się takiego pytania, miał już gotową odpowiedź. Pamiętał, jak kiedyś w Oksfordzie jeden z kolegów powiedział mu: „Jeśli masz zamiar zełgać, powinno to zawsze być jak najbliższe prawdy, a wtedy będzie budziło zaufanie”. I z tej właśnie rady skorzystał.

— Moja żona jest w głębokiej żałobie po ojcu. Pochodzi ze znamienitej, dobrze znanej w Yorkshire rodziny, więc jak się pan domyśla, byłaby to niemal śmiertelna zniewaga, gdyby wyszła za mąż przed upływem rocznego okresu żałoby.

— Oczywiście, że rozumiem, milordzie — rzekł Faulkner z westchnieniem ulgi. — To znaczy, że jeszcze przez kilka miesięcy od pana powrotu do Szkocji nie będzie oficjalnego oznajmienia o pana małżeństwie.

— O tym właśnie myślałem — potwierdził lord Alistair. — A propos, domyślam się, że skoro jest pan w Londynie, powiadomił pan gazety o śmierci moich braci.

— Tak jest, milordzie! Zamieszczą to jutro rano w *London Gazette*, *The Times* oraz w *The Morning Post*.

— Im szybciej więc wyjedziemy do Szkocji, tym lepiej — stwierdził lord Alistair. — Mogę pana zapewnić, że żona traktuje moje sprawy z równym

zaangażowaniem jak własne. Mimo tego uciążliwego pospiechu gotowa jest do podróży.
— Jestem bardzo wdzięczny, milordzie. Oczekuję z niecierpliwością spotkania z panią.

Lord Alistair wstał.

— Natychmiast pójde odwołać nasz jutrzejszy wyjazd — oznajmił Faulkner. — Zmienię bilety na statek, który z tego co wiem, odpływa około południa w czwartek. Czy wasza miłość życzy sobie jedną czy dwie kabiny?

— Dwie! — rzucił szybko lord Alistair. — Przy niespokojnym morzu, a to zawsze się zdarza, człowiek nie potrzebuje widzów.

— Jeśli pani źle znosi morską podróż — zawahał się Faulkner — może lepsza byłaby droga lądowa. Oczywiście trwałoby to znacznie dłużej, ale wiem, że kobiety bardziej od mężczyzn podatne są na chorobę morską.

— Nigdy o tym nie myślałem — odparł lord Alistair. — Droga lądowa jest jednak męcząca i nieznośnie nużąca. Myślę, że moja małżonka będzie wolała raczej stawić czoło falom aniżeli złym drogom, nędznym koniom na stacjach pocztowych, a wreszcie nieuchronnym szkockim mgłom.

Andrew Faulkner pozwolił sobie na krótki, suchy śmiech.

— To, co pan powiedział, milordzie, utwierdza mnie w przekonaniu, że im krócej będzie trwała po-

dróż z Londynu do zamku Kildonon, tym lepiej dla nas wszystkich.

Po wyjściu Faulknera lord Alistair zajął się redagowaniem dokumentu, który miał zamiar dać Arinie do podpisania rankiem następnego dnia. Nie wydawała mu się typem kobiety zdolnej do szantażu, ale tego nigdy nie można być pewnym, a po utracie złudzeń co do Olive brał pod uwagę wszelkie możliwości.

Znów przez głowę przemknęło mu, jak niewłaściwie ocenił jej uczucia. Na wspomnienie tego głęboka zmarszczka zarysowała mu czoło, a wargi ściągnęły się w wąską linię. Po raz pierwszy kobieta nie chciała dać mu wszystkiego, o co prosił, i nienawidził jej za to.

Pewien był szczerości wszystkich jej wyznań miłosnych. Mógłby wymienić co najmniej sześć kobiet, które na miejscu Olive z ochotą włożyłyby na palec jego obrączkę.

Miał pełną świadomość, że bardziej cierpi z powodu urażonej dumy aniżeli zranionego serca, nie zmieniło to jednak jego stosunku do Olive. Kiedy dwie godziny później w wieczorowym ubraniu jechał dorożką do klubu, znów zaczął rozmyślać, jak najdotkliwiej ją zranić.

Po wejściu do klubu natychmiast spotkał trzech najbliższych przyjaciół.

— Zastanawialiśmy się, czy będziesz tu dziś z nami, Alistair — przywitał go jeden z nich.

— Chodź, napijesz się czegoś. James twierdzi, że ma na przyszły tydzień niemal pewnego faworyta w Ascot. Opowie ci o tym.

— Bardzo chętnie posłucham — odparł Alistair.

Ruszyli do baru, lecz po drodze zaproszeni zostali do wesołej kompanii przy szampanie. Zdążyli zająć miejsca, gdy po chwili siedzący twarzą do drzwi lord Alistair zobaczył wchodzącego do pokoju mężczyznę i zeszywniał. Markiz Harrowby był ostatnim człowiekiem, którego chciałby w tej chwili spotkać.

— Harrowby przyszedł! — powiedział lord Worcester. — Zaprosić go do nas?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, markiz zobaczył księcia i ruszył w ich stronę.

— Niczego lepszego, niż to, że jesteście tu wszyscy, nie mógłbym sobie wymarzyć.

Pomożecie mi świętować — rzekł do grupy przyjaciół.

— Co świętować? — spytał lord Worcester.

— Moje zaręczyny — odparł markiz cicho. — Lady Beverley przyjęła moje oświadczenia.

Chwilowe zaskoczenie ustąpiło miejsca owacjom. Mężczyźni gratulowali markizowi, po czym unieśli kielichy, by spełnić toast za młodą parę.

Związek miłosny lorda Alistaira i Olive na jej specjalne życzenie utrzymywany był w głębokiej tajemnicy i teraz nikomu nie przyszło nawet do głowy, że ta nowina mogłaby sprawić mu przykrość.

Wraz z innymi podniósł kielich i pił w nadziei, że Arina odegra swą rolę równie umiejętnie jak on. Teraz jednak w harmidrzu i rozgardiaszu towarzyszącym oświadczeniu Harrowby'ego nie miał już możliwości powiedzieć nic, co dyskredytowałoby jego kochankę. Takie zachowanie nie byłoby dobrze przyjęte. Postanowił odłożyć tę sprawę na później. Nie chciał też, aby ktokolwiek z jego przyjaciół dowiedział się o istnieniu Ariny. Zjedli kolację, po której podpity markiz zaczął zanudzać wszystkich pompatycznym gadulstwem. W drodze do domu lord Alistair uznał, że małżeństwo będzie dla Olive dostateczną karą za jej postępowanie. Markiz jest bez wątpienia człowiekiem bardzo nudnym i nawet jej piękność nie wznieci w nim ognia namiętności, bez której Olive nie potrafi żyć.

Największą satysfakcję sprawiała mu myśl o tym, jaka znudzona będzie jego była kochanka. Był absolutnie pewien, że prędzej czy później użyje wszelkich sztuczek i forteli, żeby znów zwabić go do siebie.

— Zobaczymy się jutro? — spytał lord Worcester, gdy Alistair życzył mu dobrej nocy.

— Jutro będę zajęty — odparł. — Zobaczymy się za kilka miesięcy.

— Za kilka miesięcy? — wykrzyknął lord Worcester. — A to dlaczego?

— Muszę wyjechać do Szkocji — rzekł Alistair wymijająco. — Powody poznasz, książę, gdy przeczytasz poranne gazety.

— Co się stało? — spytał przyjaciel. — Niechże mi pan powie!

— Wkrótce pozna książę prawdę.

— Nie rozumiem, dlaczego jest pan taki tajemniczy!

— W ten sposób będzie miał książę o czym rozmyślać.

Lord Alistair nie chciał więcej powiedzieć, tylko zbiegł po schodach i wsiadł do dorożki. Wracając do domu myślał o czekających go zajęciach, zanim wyruszy na spotkanie nowego, prawdopodobnie nieszczęśliwego życia.

— Do diabła! — zaklął głośno. — Dlaczego nie mogę żyć jak dotąd? Byłem szczęśliwy, a teraz muszę stawić czoło ojcu, nudzie Szkocji i małżeńskiemu przymusowi.

Przyszło mu do głowy, że to ostatnie, choć w istocie bardzo dziwne, może okazać się dla niego łaską niebios. Zabawne będzie sprzeciwić się ojcu i udaremnić jego plany ożenienia go z panną McNain. Trzeba się mieć na baczności, żeby ani on, ani Arina nie dali się przyłapać na kłamstwie.

Przypomniały mu się psoty, które płatał jako chłopak, oraz młodzieńcze wybryki z czasów stu-

diów na Oksfordzie. Pamiętał perswazje cenzorów i ostre nagany opiekunów. Jeszcze raz miał popełnić szaleństwo, lecz tym razem znacznie poważniejsze od wszystkiego, co zdarzało mu się w przeszłości. Wchodził do mieszkania uśmiechnięty, myśląc, że zaskoczy Champkinsa, który nie spodziewa się go tak wcześnie. Ale służący wyszedł mu na spotkanie z sypialni.

— Jakaś pani chce się widzieć z panem, milordzie. Czeka w salonie.

— Co za pani? — zdumiał się lord Alistair. Przez myśl przemknęło mu, że to Arina przyszła

powiedzieć, iż zmieniła zdanie. A może jej matka zmarła i dziewczyna nie jest już w tak rozpaczliwej sytuacji?

— Ta pani nigdy tu jeszcze nie była, milordzie — dodał Champkins. — Ma gęstą woalkę. Przybyła w powozie zaprzężonym w dwa konie i pachnie francuskimi perfumami.

Widać było, że dama zrobiła na lokaju duże wrażenie. Nie może to być Arina. Lord Alistair nie odpowiedział, tylko zsunął z ramion podszytą satyną pelerynę, którą wraz z cylindrem podał służącemu, i otworzył drzwi do salonu.

Mimo półmroku panującego w pokoju nie miał wątpliwości, kto podnosi się na jego widok z sofy. Przez moment nie dowierzał własnym oczom.

— Olive? — wykrzyknął. — Co ty tu robisz?

Podeszła do niego i wtedy zobaczył, że ubrana jest w suknię uszytą z tak przejrzystego materiału, iż równie dobrze mogłaby być naga.

— Jak mogłeś porzucić mnie tak okrutnie?

— spytała.

Stała obok niego, ale on nie wyciągnął ramion.

— Właśnie rozstałem się w klubie z twoim przyszłym mężem — rzekł zimno. —

Gratulowałem mu gorąco zaręczyn i jestem absolutnie przekonany, że wybrałaś sobie mężczyznę, który doskonale będzie do ciebie pasował.

Wybuchnęła śmiechem, nie reagując na obraźliwy ton jego wypowiedzi.

— Jesteś zazdrosny, kochanie — zauważyła.

— Uwielbiam cię za to! Och, Alistair, czy naprawdę myślisz, że mogłabym cię stracić?

Przez chwilę sądził, że zmieniła zdanie i przyszła powiedzieć mu, że wyjdzie za niego. Ale gdy wyciągnął ramiona, zobaczył tylko oczy pełne namiętności i uwodzicielskie usta.

— Nie! — rzucił szorstko i odsunął się od niej. Podeszedł do biurka, żeby sprawdzić, czy nie

zostawił przypadkiem napisanego wcześniej kontraktu. Olive przeczytałaby go bez najmniejszych skrupułów. Przypomniał sobie, że zamknął go w szufladzie, a klucz zabrał ze sobą i uspokoił się. Zawsze tak robił, gdy nie chciał, by Champkins coś widział.

Stał ze wzrokiem wbitym w suszkę, gdy poczuł rękę Olive na swojej dłoni.

— Spróbuj mnie zrozumieć, kochanie — zaczęła błagalnie. — Małżeństwo to jedno, a miłość to coś całkiem innego. Wszyscy mężczyźni tak uważają, dlaczego więc kobieta miałaby myśleć inaczej? Kocham cię, jak nikogo przedtem. Moje usta pragną twoich i moje ciało płonie dla ciebie. Czy to ważne, jak będzie brzmiało moje nazwisko?

— Dla mnie istotne jest, że nie chcesz spełnić mojej prośby — odparł ostro.

Wiedział jednak, że Olive ma rację. Jakie znaczenie ma dla niego, czy jest jego żoną czy nie? Ofiarowuje mu to, czego nigdy raczej nie otrzyma od swojej żony. Jego stosunek do niej uległ nagłej zmianie. Uświadomił sobie, że powodem jego gniewu jest zraniona duma, nie zaś uczucia. Gdy odwrócił się do niej, na ustach pojawił mu się uśmiech, a bruzda na czole zniknęła.

— Jak myślisz, co powiedziałby szlachetny markiz, gdyby wiedział, gdzie teraz jesteś? — spytał.

— Tego się nigdy nie dowie — odparła Olive. — Ani dziś, ani później.

Jakby wyczuwając zmianę nastroju, przysunęła się do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Po co myśleć o jutrze czy jakimkolwiek innym dniu? — spytała. — Dzisiaj jestem tutaj. Nikt

nam nie przeszkodzi, a ja cię pragnę, Alistairze. Pragnę cię, jak nikogo dotąd. Wydawało się, że powietrze jest przesycone jej namiętnością. Lord Alistair powoli, jakby kpiąc z siebie, że jej ulega, otoczył ją ramionami. Pochylił głowę i gdy odnalazł jej wargi, pocałował ją szorstko, niemal brutalnie, jakby karząc za gniew, który w nim wywołała. Przywierała do niego coraz mocniej, a on czuł ogień, który tak często w nim rozpalala. Wybuchnął wreszcie w całym jego ciele i wyparł wszystko poza gorącym pragnieniem jej ciała. Egzotyczna woń perfum odurzyła go, aż stracił całkowicie zdolność myślenia.

— Pragnę cię! Kocham cię, Alistair!

Chociaż tkwiący w nim cynik, oddalony i patrzący na wszystko z boku mówił mu, że Olive kłamie, wziął ją w ramiona i poniósł przez pokój na sofę.

Następnego dnia w południe zajechał swym powozikiem pod numer 27 na Bloomsbury Square. Opuszczał mieszkanie widząc, jak stos bagażu w holu nieustannie rośnie.

Spodziewał się, że kilkanaście skórzanych waliz piętrzących się pod ścianami zaskoczy Faulknera. Miał już powiedzieć Champkinsowi, że nie muszą brać tak wiele, gdy uświadomił sobie, że przenosi przecież mieszkanie z Londynu do Szkocji. Upłynie sporo czasu, zanim

znów zostanie stałym klientem najlepszych londyńskich krawców. Poza tym, choć nie informował Champkinsa, że nie wrócą do tego mieszkania, miał wrażenie, że służący wie o tym.

Champkins służył u niego od chwili ukończenia przez Alistaira Oksfordu i chociaż z czasem nabrał nawyków opiekuńczej niańki, zawsze był lojalny i godzien zaufania. Przyszło mu na myśl, że służący szybciej i lepiej przywyknę do życia w Szkocji niż on. Postanowił powiedzieć Champkinsowi po powrocie, żeby spakował ubrania, a resztę rzeczy

— poza drobnymi przedmiotami osobistego użytku — oddał na przechowanie.

Zaplanował to sobie na ubiegły wieczór, ale Olive skutecznie temu przeszkodziła. Było po trzeciej, gdy opuściła jego mieszkanie i wsiadła do powozu, który na jej żądanie już od godziny czekał pod domem.

— Czy chcesz, bym cię odwiózł do domu?

— spytał lord Alistair.

— Ależ nie, oczywiście że nie — odparła.

— Pokojówka miała powiedzieć służbie, że wybieram się w odwiedzinach do wiekowej krewnej, na urodzinowe przyjęcie.

— Wiekowi krewni kładą się spać dużo wcześniej! — roześmiał się głośno.

— Dlaczego służąca miałaby kwestionować to, co robię? Teraz jest zachwycona. Czeka, aż zostanę

markizą, bo wtedy otrzyma znacznie lepsze stanowisko, niż miała kiedykolwiek w życiu.
— Kolejny atut dla markiza — rzekł lord Ali-stair.

Nie czuł już gniewu słuchając, co mówi Olive. Zaakceptował wreszcie jej punkt widzenia. Małżeństwo to jedno, a miłość, przynajmniej jeśli o niego chodzi, to coś całkiem innego. Kiedy około pierwszej zorientował się, że Champkins poszedł spać, kochankowie opuścili salon i przeszli do jego sypialni. Teraz, gdy odzyskał już jasność myślenia, cieszył się, że Olive nie jedzie z nim do Szkocji. Zdawał sobie sprawę, że podczas podróży bez przerwy skarżyłaby się na niespokojne morze i brak wygod na statku. O ile sam zamek wywarłoby na niej duże wrażenie, to bardzo szybko poczułaby się znudzona, bardziej nawet niż on. Nie omieszkałaby okazywać swego niezadowolenia, także ojcu.

Skoncentrowany do tej pory na swoich kłopotach, dopiero teraz zaczął dostrzegać wszystkie -przeszkody, na które w swej zapalczowości nie zwracał przedtem uwagi. Olive była najbardziej podniecającą i namiętną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Gdy jednak otrząsnął się z zauroczenia pożądaniem, musiał przyznać, że interesowała ją wyłącznie znacząca pozycja społeczna. Przeróżający przy tym był brak

zwykłej ludzkiej dobroci, co pokazało choćby postępowanie z Ariną.

Gdy od niego , wyszła, a on wrócił do wciąż pachnącego jej ciałem łóżka, zrozumiał, jakiej pułapki udało mu się uniknąć. Nikt lepiej od niego nie wiedział, jak szybko gasną ognie namiętności, gdy nie ma z czego rozdmuchać płomienia. Prędzej czy później taki właśnie los spotkałby jego związek z Olive. Właściwie można powiedzieć, że wygrał, gdy Harrowby postanowił ożenić się z Olive.

Jechał na Bloomsbury i myślał, że jego nowy sposób niewypełnienia woli ojca jest znacznie mądrzejszy. Gdy tylko matka Ariny dojdzie do zdrowia na tyle, że dziewczyna będzie mogła wrócić, wymyślą jakąś prawdopodobną historyjkę, która zapewni mu wyswobodzenie się z zobowiązań. Poza tym ojciec nie będzie przecież żył wiecznie. Gdy zostanie już księciem, wyjazdy na południe staną się tak częste, że wiele miesięcy w roku nie będzie miał ze Szkocją nic wspólnego. Był tego absolutnie pewien.

Słońce zdawało się świecić jaśniej niż kiedykolwiek. Ustąpił wczorajszy mrok. Dobrą wróżbą zdawały się słowa wykrzykiwane przez stojącego na rogu ulicy gazeciarza.

**CZYTAJCIE O ŚMIERCI PRZEZ UTONIĘCIE DWÓCH ARYSTOKRATÓW!
CZYTAJCIE, JAK KSIĄŻĘ OPŁAKUJE SWYCH DWÓCH SYNÓW!**

Powóz przyjechał, zanim zdołał usłyszeć coś więcej. Znał jednak treść tego doniesienia. Wiadomość o śmierci jego braci znajdzie się na czołówkach wszystkich gazet i jego przyjaciele dowiedzą się, że to on jest nowym markizem Kildonon. Tak właśnie powinien o sobie myśleć. Odkrył, że dziś sprawia mu to znacznie większą przyjemność niż wczoraj. Zatrzymał konie na Bloomsbury Square i przez otwarte drzwi domu zobaczył czekającą w holu Alinę. U jej stóp stał niewielki, mocno sfatygowany kuferek. Dziewczyna miała na sobie tę samą prostą bawiełnianą sukienkę i skromniutki czepeczek, w których widział ją w domu Olive. Gdy wysiadł z powozu i ujął jej rękę, spostrzegł, że płakała. Wiedział, że pożegnała się niedawno z matką, więc nie zadawał zbędnych pytań.

— Muszę panią pochwalić. Nie znam kobiety równie punktualnej. Cieszę się, że nie kazała mi pani czekać, bo mamy dużo do załatwienia.

Obdarzyła go wymuszonym uśmiechem. Zapłacił za mieszkanie i pomógł jej wsiąść do powozu.

— Czy z pani matką wszystko w porządku?

— spytał, gdy konie ruszyły.

— Tak... dziękuję panu — odparła Arina.

— Chirurg był bardzo zadowolony, że przybyła do niego tak... szybko. Obawiał się, iż... w przeciwnym razie mogłoby być... za późno.

Przy ostatnich słowach głos jej zadrżał i markiz widział, jak stara się zachować spokój i opanowanie.

— Proszę nie zapomnieć podać mi adresu chirurga, aby mój sekretarz mógł wysłać resztę pieniędzy.

— Już go panu zapisałam.

— Widzę, że jest pani równie skrupulatna jak ja — rzekł markiz. — Bardzo denerwują mnie ludzie, którzy zapominają, są niedbali i niestaranni.

— Mam nadzieję, że nigdy nie ujawnię żadnej z tych... wad... kiedy będę z... panem.

Markiz odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej. Choć niemodna sukienka dziewczyny uszyta była z najtańszego materiału, Arina wyglądała wyjątkowo porządnie i schludnie.

Dostrzegł też znowu jej szczególny wiośniany wygląd.

Dziewczyna była nieprawdopodobnie szczupła. Gdy patrzyła przed siebie zainteresowana tym, dokąd jada, przyglądał się swobodnie ostrości jej podbródka i zapadniętym policzkom. Pomyślał, że dobre odżywianie pozwoli jej szybko nabrać zdrowego wyglądu, choć obawy wywołane stanem matki przedłużą z pewnością ten proces.

— Dokąd jedziemy? — spytała, gdy ruszyli w stronę bardziej uczęszczanych ulic.

— Kupić dla pani wyprawę — odparł markiz.

— Ale wie pan o tym, że ja nie... nie mam pojęcia, co powinnam... wybrać, ani co będzie właściwe

dla mnie. Zawsze mieszkaliśmy z mamą na prowincji — dodała po chwili — i jestem właściwie „wiejską prostytutką”.

— Kiedy zaopatrzymy panią we wszystko co trzeba, będzie to ostatnia rzecz, jaka na pani widok mogłaby przyjść komukolwiek do głowy — uspokoił ją markiz. — Proszę to mnie zostawić.

— Nadal czuję się bardzo... zakłopotana, że pan nie tylko będzie... wybierał mi odpowiednie rzeczy, ale także... płacił za nie.

— Mówi pani teraz jak prawdziwa, skromna młoda dama — zauważył. — Nie jak aktorka, która rozporządza wielkim wynagrodzeniem i wyjątkowymi benefisami w teatrze na Haymarket czy też w Drury Lane.

Śmiech Ariny miał bardzo miłe brzmienie.

— Chyba nie oczekuje pan ode mnie, bym pretendowała do czegokolwiek tak ważnego, ani też do któregoś z tych teatrów.

— Teatr, w którym będzie się pani pokazywać, jest znacznie bardziej imponujący, a ja podczas podróży morskiej będę miał mnóstwo czasu, żeby opowiedzieć pani o wszystkim.

— Więc podróż do Szkocji będziemy odbywać morzem? — dziewczynie najwyraźniej zaparło dech z wrażenia.

— Boi się pani?

— Chyba nie. Ale byłoby dla mnie krępujące, gdybym dostała choroby morskiej, zwłaszcza w pana obecności.

— Dlaczego zwłaszcza przy mnie? — spytał markiz.

— Bo pan jest taki wspaniały. Na pewno nie cierpi pan na tak prozaiczne dolegliwości jak przeziębienie, choroba morska czy świnka.

— Dziękuję — roześmiał się. — To najbardziej naiwny komplement, jaki zdarzyło mi się usłyszeć.

— Ja tylko powiedziałam, co myślę — tłumaczyła się Arina. — Mam nadzieję, że to nie było... niegrzeczne.

— Nie tylko nie niegrzeczne, ale wręcz urocze — zapewnił ją.

Dojechali do bocznej uliczki Bond Street i zatrzymali się przed niewielkim sklepem. Nie był wcale imponujący, jednak dziewczyna zadrżała lekko, a w jej oczach pojawił się strach.

— Proszę się nie obawiać — powiedział markiz. — Znam dobrze właścicielkę. Jest gotowa zrobić cuda. Zaopatrzy panią we wszystko, czego sobie pani zażyczy, i to w najkrótszym czasie.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale gdy pomagał jej wysiąść z powozu, wyczuł drżenie jej palców.

Niewielki sklep był elegancko urządzone. Kobieta, która do nich wyszła, przywitała markiza wylewnie.

— To cudowne, że pana widzę, milordzie.

Arina oceniła ją jako bardzo wytworną w eleganckiej szarej sukni i mimo swych co najmniej trzydziestu lat, również bardzo pociągającą.

Lord Alistair znał madame Celeste — jak się sama nazwała, bo urodziła się jako zwykła Cecily Brown — od momentu, gdy towarzyszył tutaj damie, która z wielkiej do niego miłości urządziła mu mieszkanie.

— Lubię przede wszystkim kreacje oryginalne — oznajmiła mu — i to właśnie znajduję u madame Celeste.

Związek się skończył, a lord Alistair przyprowadził do jej sklepu jeszcze kilka piękności, trafnie doradzając im wybór sukni, czym zaskarbił sobie zarówno wdzięczność dam, jak i madame Celeste. Okazała mu ją spędzając z nim kilka dni w wygodnym zajeździe w Buckinghamshire.

Pochodziła ze wsi, doskonale trzymała się na koniu, więc dni spędzali na pokonywaniu wielkich pastwisk, noce zaś w wygodnym łóżu pod pościelą z gęsiego puchu. Później lord Alistair wspominał ów epizod jako niezwykle przyjemność. Było to niczym malowanie dzikich wiosennych kwiatów zamiast cieplarnianych goździków czy orchidei.

Przyprowadził Celeste wiele klientek i pomógł jej uzyskać duży rozgłos. Dzisiaj po raz pierwszy

kupował stroje, za które miał sam zapłacić. W krótkich słowach wyjaśnił, czego dokładnie potrzebuje i jak szybko ma to otrzymać. Kobieta załamała najpierw ręce, zaraz jednak przeszła do rzeczowej, tak lubianej przez niego rozmowy.

— Zrobię co w mojej mocy, a jak będzie z resztą, trudno powiedzieć. — Popatrzyła na Arinę i uśmiechnęła się. — Myślę, że prawie wszystko, czym w tej chwili dysponuję, będzie na śliczną młodą damę pasowało. Dla pana zaś, i tylko dla pana, popełnię niewybaczalną zbrodnię. Oddam wykończone lub prawie gotowe suknie innych pań, dla których uszyję je od nowa.

— To właśnie chciałem usłyszeć — uśmiechnął się markiz. — Musimy również zamówić buciki, bieliznę, płaszcze, pelerynki, szale, rękawiczki i wszelkie rzeczy, które zwykle tylko się uzupełnia. Kupowanie wszystkiego naraz sprawia wiele kłopotu.

Celeste krzyknęła przerażona, ale natychmiast kazała swej zastępczyni sprowadzić wszystkie pracownice. Kobiet było co najmniej dwadzieścia. Gdy powiedziała im, czego od nich żąda, okazały wyraźne zainteresowanie. Choć dla większości z nich oznaczało to pracę przez całą noc, były zadowolone z perspektywy zarobienia dodatkowych pieniędzy.

— Będzie to pana sporo kosztować — rzekła Celeste cicho, gdy czekali na jej pracownice.

— To nie ma żadnego znaczenia. Moja sytuacja zupełnie się zmieniła — wyjaśnił widząc jej uniesione brwi.

— Bardzo się cieszę, naprawdę bardzo się cieszę.

— Zawsze byłaś dobrą przyjaciółką, Celeste — rzekł markiz ujęty szczerym tonem jej głosu.

Arina była zdumiona różnorodnością przedstawionych jej propozycji i zachwycona pokazywanymi materiałami. Podczas gdy mierzono i dopasowywano suknie, markiz wraz z Benem poszedł do powozu, by przynieść jedzenie. Wiedział, że Arinę należy dobrze odżywiać, ale on również nie miał chęci głodować. Restauracja w Piccadilly dostarczyła wszystko, czego zażądał, razem z doskonałym winem. Jednej z pomocnic Celeste polecił nakryć do posiłku w kantorze za sklepem. Było tam dość miejsca, by we trójkę mogli zasiąść przy niewielkim stole.

Gdy wrócił, Arina była blada i sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej. Zmusił ją niemal do wypicia pół szklaneczki wina na pobudzenie apetytu. Po chwili policzki dziewczyny zaróżowiły się. Gdy wraz z Celeste śmieli się i żartowali uznał, że w ten sposób dziewczynie łatwiej będzie się odprężyć i zapomnieć o matce.

Umiejętności krawieckie i zdolności organizacyjne Celeste były tak wielkie, że gdy wczesnym

popołudniem opuszczali sklep, Arina miała już dwa kufry nowych ubrań i dodatków. Celeste przyrzekła solennie, że reszta będzie gotowa następnego ranka, zanim wyruszą do Tilbury, a jeśli czegoś nie zdąży zrobić, po wykończeniu prześle im to drogą morską. Wysłała też jedną ze swych pracownic po pantofelki domowe dla Ariny i za namową markiza dodatkowo po parę trzewików do chodzenia po wrzosowiskach.

— Naprawdę będę mogła to zrobić? — spytała Arina.

— Jeśli tylko będzie pani chciała.

— Ależ tak, na pewno — odparła.

Markiz pomyślał, że tego właśnie powinien się spodziewać po dziewczynie, która zawsze żyła na wsi. Zamówił więc nie jedną, lecz dwie pary bucików i polecił Celeste zrobić jej nieco krótszą wygodną suknię do spacerów.

— Nie może być tak nieskromna, żeby odsłaniała kostki, milordzie — zakpiła Celeste.

— Nie może jednak być tak długa, by panienska ją przydeptywała — odparował natychmiast.

Arina roześmiała się lekko.

— Cieszę się, że nie widział mnie pan na wsi, gdzie mieszkaliśmy z papą.

Markiz nie odpowiedział. Uważał, że to co wypadało pannie Arinie Beverley, jest nie do przyjęcia

dla przyszłej markizy Kildonon. Gdy wrócili do jego domu, przypomniał sobie, że nie powiedział jeszcze Champkinsowi o swoim małżeństwie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że służący mu nie uwierzy, jednak najważniejsze było, żeby mimo podejrzeń nie wypowiadał się na ten temat w Szkocji. Rozważał nawet zostawienie lokaja w Londynie, lecz uznał, że nie do wytrzymania będzie dla niego otoczenie szkockiej służby. Pamiętał, że brak im umiejętności cichej, doskonałej obsługi, jaką znajdował w domu dziadka czy w wielkich domach rodzin, do których wyjeżdżał w odwiedziny bez własnego lokaja. Kiedy pomagał Arinie wsiąść z powozu, z podziwem patrzył na jej zmieniony wygląd. W niczym nie przypominała dziewczyny, którą zabierał wcześniej z Bloomsbury. Ubrana była w modną suknię z bladoniebieskiego muślinu ze skrzyżowanymi na stanie wstążkami w tym samym kolorze, przechodzącymi pod piersiami do tyłu i związanymi jak szarfa. Wszystkie zakupione suknie miały wysoką talię, zgodnie z modą lansowaną niedawno we Francji przez Józefinę Bonaparte, żonę Pierwszego Konsula. Arina przykryła suknię jedwabnym szalem w niebieski deseń. Na głowie miała ozdobiony białymi kwiatami czepeczek z modną wysoką główką, podtrzymywany pod brodą niebieską wstążką. Mimo wyraźnego zmęczenia i zbytniego wychudzenia wygląda młodo i ślicznie.

Markiz wprowadził ją do salonu. Jak można się było spodziewać, Champkins nadal zajęty był pakowaniem, tylko teraz nie były to już walizy, lecz drewniane kufry.

— Nie słyszałem, jak jaśnie pan przyszedł — wykrzyknął służący, podrywając się na jego widok.

— Champkins, mam ci coś do powiedzenia.

— Tak, milordzie?

— Jutro rano, jak wiesz, wybieramy się do Szkocji i zabieram ze sobą moją żonę.

Champkins wytrzeszczył oczy.

— Święci pańscy, a to ci nowina! — wykrzyknął.

Markiz nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Myślę, że dla wielu ludzi na północy to również będzie niespodzianka. Miałem powody, dla których zawarłem tajemne małżeństwo, a ważne jest, by wszyscy w Szkocji byli przekonani, że stało się to co najmniej dwa miesiące temu.

— Jeśli wasza wielmożność tak mówi, ja w to wierzę — odparł lokaj i markiz pomyślał, że to typowe dla niego unikanie zbędnych pytań.

— Dziękuję ci, Champkins. Powiedziałem już panu Faulknerowi, że powodem zachowania w tajemnicy naszego małżeństwa jest głęboka żaloba mojej żony po ojcu. Uświadomił sobie nagle, że o tym właśnie nie powiedział Celeste. Stroje Ariny były we wszyst-

kich kolorach tęczy, a czerni wśród nich nie było. Zdecydował się na wytłumaczenie tego tak szybko, że nawet Champkins mógł dać się zwieść.

— Pani jednak nie nosi czerni, bo wedle woli jej ojca nikt nie powinien nosić po nim żałoby. Upierał się przy tym niemal fanatycznie i córka musi podporządkować się jego życzeniom. Tak więc, choć głęboko przeżywa stratę, nosi suknie, jakie nosiła zawsze, w kolorach, które podobały się jej ojcu.

— To bardzo rozsądne, jeśli mogę tak powiedzieć, milordzie — zauważył Champkins. — Zawsze uważałem, że wszystkie te płacze i jęki to tylko zawracanie głowy.

— Zgadzam się z tobą — rzekł markiz. Polecił Champkinsowi uprzedzić kucharza, że na kolacji będą dwie osoby, po czym pospieszył zawiadomić Arinę o właśnie wymyślonych wyjaśnieniach.

— To zupełna bezmyślność z mojej strony

— przyznał. — Powinienem był ubrać panią w czerń, fiołkowy, biel i może w szary.

Arina uśmiechnęła się. Zdjęła czepeczek i teraz w niebieskiej sukni, z uczesanymi modnie przez Celeste włosami, wyglądała elegancko i bardzo ładnie.

— Przejrzałam się w lustrze — powiedziała.

— Ta sukienka jest bez porównania ładniejsza od wszystkich, jakie kiedykolwiek miałam! A różowa i zielona są takie śliczne, że nie zniosłabym ich straty.

— Będziemy musieli tylko uzupełnić naszą opowieść o informację, że ojciec pani nie uznawał żałoby.

— To właściwie nawet prawda — odparła Arina. — Powtarzał często, że ludzie dają tak wiele kwiatów, gdy ktoś umiera, a nigdy nie przyjdzie im do głowy ofiarować bukietu żyjącemu. Kiedy papa zmarł — dodała — mama nie mogła pozwolić sobie na kupno nowych ubrań, więc tylko przybrałyśmy czarną wstążką to, co miałyśmy.

— W ten sposób upewniła mnie pani, że nie kłamię — rzekł markiz. — Nienawidzę tego i pewien jestem, że pani również. A więc gdy tylko się da, będziemy kłamstw unikać. Te jednak, które wyjdą z pani ust, oczywiście nie zasługują na potępienie.

— Czy to łagodzenie pańskiego sumienia czy mojego? — spytała ku jego zaskoczeniu. Spodobały mu się niespodziewane iskierki w jej oczach. Do tej pory była zawsze taka cicha i przestraszona.

— Jeśli będziemy dość mądrzy — zauważył — możemy mieć z tej awantury wiele zabawy, i tak musimy to traktować.

— Tak, oczywiście. Cudownie jest teraz wybrać się w taką podróż, po martwieniu się o mamę, po całym tym strachu, że nie uda mi się zdobyć pieniędzy na operację.

— Nie wolno pani więcej o tym myśleć — rzekł markiz twardo. — Nie pytałem jeszcze, kiedy pani matka będzie miała operację?

— Za trzy dni. Chirurg, który jest bardzo dobrym człowiekiem, chce najpierw mamę odżywić, a także dać jej odpowiednie leki, by nabrała sił. — Dziewczyna złożyła ręce. Głos jej brzmiał wielkim wzruszeniem. — Nie przestaję się modlić za pomyślny przebieg operacji. Jeśli tak się stanie, to będzie wyłącznie pana zasługa. Nigdy, przenigdy nie będę umiała powiedzieć panu... jak bardzo jestem wdzięczna i... jaki pan jest... cudowny.

ROZDZIAŁ 5

Ponieważ ubrania Ariny spakowane już były do podróży, markiz zaproponował, żeby nie przebierali się do kolacji. Nie zdecydował też jeszcze, jakie przygotowania powinien poczynić przed nocą. Zasiedli w małej jadalni do cudownego posiłku i Arina zachwycała się każdym spożywanym kęsem. Choć trudno jej było pogodzić się z myślą o marnowaniu tak wspaniałego jedzenia, bardzo szybko poczuła się nasycona.

— Nie myślę, aby miało się zmarnować—rzekł markiz. — Muszę też uprzedzić, że w Szkocji wywoła pani zdumienie, jeśli nie zje obfitego śniadania, takiegoż lunchu i jeszcze większego podwieczorku, po którym nastąpi oczywiście ogromny posiłek wieczorny. Dziewczyna krzyknęła przerażona.

— Jeśli utyję od tak wielkiej ilości jedzenia — odezwała się z iskierkami w oczach — uzna to pan za bardzo kosztowne.

— Może moje pieniądze zostaną wydane w dobrej sprawie — zaśmiał się markiz. — Wątpię jednak, by stała się pani jedną z owych tłustych kobiet.

— Ja też mam taką nadzieję — odparła. — Wiem, że zdumiewa pana moja chudość, a madame Celeste była przerażona moimi sterczącymi pod skórą kośćmi.

Markiz przyznał skrycie, że dziewczyna choć zbyt szczupła, wygląda bardzo pociągająco. Przyrzekł sobie jednak nie patrzeć na nią jak na kobietę. Musi też bardzo uważać, żeby dziewczyny nie szokować i nie stracić jej dotychczasowego zaufania. Z doświadczenia wiedział, że traktowanie go jako zbawcy jej matki jest tylko reakcją dziecka wyratowanego z niebezpieczeństwa. Spotkała kogoś, komu zaufała i kogo darzy szacunkiem. Poczul się stary i był pewien, że tak właśnie wygląda w jej oczach. Zadowolony był jednak, że to nie Olive jedzie z nim do Szkocji.

Arina może się obawiać, że przyniesie mu wstyd lub sprawi zawód, ale wygląd i zachowanie Olive bez wątpienia wywołałyby konsternację. Szkoci nigdy by jej nie zrozumieli ani nie zaakceptowali.

Początkowo przekonany był, że tylko Olive mogłaby uratować go przed poślubieniem wybranej przez ojca kobiety i do tej pory nie myślał, jak zareagowałby klan na jej widok. Purpurowe usta, wy-tuszowane rzęsy i pomalowane policzki Olive, które w Londynie były czymś normalnym, przerażyłyby Szkotów. Byliby pewni, że mają przed sobą ladacznicę. I chyba mieliby rację, pomyślał z cynicznym grymasem. A Harrowby jest dla niej bardzo odpowiednim mężem.

Wspomniał jej zachowanie z ostatniego wieczoru i zrozumiał, jak wielkim szczęściem okazało się dla niego ich rozstanie. Olive nie będzie wierna ani mężowi, ani kochankom. Jest typem kobiety, której nie chciałby mieć za żonę.

Będzie za nią tęsknił, ale nie potrwa to długo. Żaden z jego romansów nie był zbyt trwały i gdy wygasały ognie pierwszej namiętności, szybko zapominał o kobiecie, przygotowany na nowy romans i rozpoczęcie gry od nowa.

Po kolacji markiz zabrał Arinę do saloniku, gdzie przedstawił jej przygotowany przez siebie kontrakt. Studiowała go bardzo uważnie, czytając każde słowo. Dokument mówił, że zatrudnił ją za sumę pięciuset funtów, żeby czasowo odgrywała rolę jego żony. Po wygaśnięciu umowy nie będzie się z nim kontaktowała ani wysuwała w stosunku do niego żadnych roszczeń, tylko usunie się z jego

życia. Końcowe zdanie brzmiało: „Po naszym pożegnaniu zobowiązuję się wpłacać do banku panny Beverley sumę dwustu funtów rocznie w półrocznych ratach”.

Wszystko było bardzo przejrzyste i treściwe.

— Nie ma potrzeby — rzekła Arina po przeczytaniu całego dokumentu — aby płacił mi pan tak dużo po naszym rozstaniu. Powiedziałam już, że gdy mama poczuje się lepiej, znajdę sobie jakąś pracę.

— Jakiego rodzaju? — zainteresował się.

— Nie jestem pewna — odparła — ale myślałam, że być może mogłabym kopiować niektóre z tych pięknych koszul nocnych, które kupił mi pan wczoraj... albo inne rzeczy. Odwróciła od niego wzrok i domyślił się, że według niej niestosowne jest mówienie przy nim o haftowanych, wykończonych koronką koszulach.

— Uważam, że będzie to dla pani za ciężka praca, bez gwarancji regularnego dopływu pieniędzy

— zauważył. — Na pewno, o czym mówiłem wcześniej, wyjdzie pani odpowiednio za mąż, a wtedy mąż zaopiekuje się panią i matką.

Dziewczyna rozważała jego słowa.

— Ponieważ jest pan tak dobry i troskliwy

— odezwała się po chwili — mogę przyjąć tę propozycję, z zastrzeżeniem jednak, że jeśli w przyszłości nie będę już... potrzebowała pieniędzy... napiszę panu o tym.

— Naturalnie — zgodził się. Podpisywała dokument porządnie i czytelnie. Markiz podpisał się również, po czym złożył papier.

— Wyślę go do mojego banku — oświadczył. — Będzie tam bezpieczny i żadne wścibskie oczy go nie zobaczą. Jednocześnie wydam im zlecenie wypłacenia reszty należnych pieniędzy chirurgowi pani matki oraz przekazania trzystu funtów do pani banku, tylko musi mi pani powiedzieć, do którego.

Arina sprawiała wrażenie niezdecydowanej.

— Po przemyśleniu doszedłem do wniosku — podjął — że być może błędem byłoby korzystać z banku, w którym panią znają i będą wiedzieli, że otrzymuje pani pieniądze ode mnie. Lepiej będzie, jeśli otworzę rachunek na pani nazwisko u Couttów, gdzie na każde żądanie można bez przeszkód podjąć pieniądze.

— Bardzo panu dziękuję — skinęła głową dziewczyna. — To, co pan ustalił, jest z pewnością najlepsze dla nas obojga.

Markiz z uznaniem pomyślał, że dziewczyna jest bardzo odpowiedzialna.

— Chciałbym, żeby usiadła pani wygodnie, a ja opowiem o mojej rodzinie. W Szkocji będą oczekiwali od pani znajomości tych wydarzeń. Opiszę również mojego ojca, domyślam się bowiem, że tak jak mnie kiedyś, teraz będzie onieśmielał panią.

Markiz nie usiadł, tylko niespokojnie chodził po pokoju. W końcu zaczął opowiadanie, które okazało się historią jego życia.

— Mój ojciec został wychowany przez swego ojca w przekonaniu, że świat istnieje po to, by on mógł się po nim przechadzać — zaczął. — I tak właśnie uważa większość szkockich naczelników klanów. Przez wieki cieszyli się ogromnym autorytetem i mieli niepodzielną władzę. Brytyjczycy pozornie zmniejszyli te przywileje, lecz w obrębie każdego klanu nadal są najwyższą instancją.

Zamilkł na chwilę, zdziwony, jak prawdziwe jest to w przypadku jego ojca.

— Gdy ojciec objął schedę, był najważniejszym w Szkocji naczelnikiem, poza tym najbogatszym i najpotężniejszym posiadaczem ziemskim.

— Słyszałam o nim i o waszym zamku — rzekła cichutko Arina. Choć markiza zaskoczyła ta wiadomość, nie zareagował na jej słowa.

— Przywrócił dawne obyczaje — kontynuował — wskrzesił stare ceremonie i odbudował cały mistycyzm otaczający naczelnika klanu. Gdy tylko uchylono zakaz noszenia tartanu, wszystkich służących i członków klanu w sąsiedztwie zamku ubrał w kilty.

Opowiadał jej to ze świadomością, jak wielką goryczą musiała napawać Szkotów rezygnacja ze stroju, który pod wieloma względami był częścią

ich wiary. Ponieważ tak wiele dla nich znaczył, zanurzali odzież z tartanu w kadziach z borowiną bądź farbowali i przerabiali na groteskowo wyglądające spodnie. Uważali, że w ten sposób oszukują Brytyjczyków i ośmieszają nowe prawa.

Dodawał do swego opowiadania niezbędne historyczne szczegóły i starał się tak ująć je w słowa, żeby Arina choć trochę zrozumiała kraj, do którego ją zabierał. W trakcie opowiadania przekonał się, że sam niewiele wie na ten temat. Zbyt długo był daleko od Szkocji. Nagle bezsensowność sytuacji wywołała w nim niepokonany gniew. Jako prawie dwudziestosiedmioletni mężczyzna musi wrócić przed oblicze ojca niczym schwytany niewolnik. Nieznośna dominacja tego człowieka będzie go stopniowo niszczyć, aż unicestwi i jego, i niezależność jego myśli.

— Kiedy znajdzie się pani w zamku Kildonon — podjął znowu — pojmie pani, że cały świat obraca się wedle kaprysu mojego ojca. Na jego rozkaz świeci słońce, poruszają się fale przyływu. Zrozumie pani wtedy znacznie lepiej, niż mogę to teraz wyjaśnić, co to za miejsce.

Końcowe słowa jego opowieści zdawały się pulsować gniewem i nienawiścią. Gdy przestał mówić, spostrzegł, że Arina śpi. Pochłonięty własnymi myślami nie zauważył, że od dłuższego czasu nie przerywała mu ani nie zadawała żadnych pytań.

Zrozumiał, że dziewczyna jest zupełnie wyczerpana ostatnimi przeżyciami. Być może celtyckie pochodzenie podpowiadało mu, że musiała poczuć się zakłopotana i przestraszona, gdy przywiózł ją do swego domu. Widział przecież przy kolacji jej zdenerwowanie. Cały czas bała się, że zrobi lub powie coś, czego on nie zaaprobuje. Z pewnością po raz pierwszy w życiu jadła kolację w towarzystwie mężczyzny. Zrozumiał, że powinien być dla niej wyrozumiały i delikatny, choć nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Był przyzwyczajony do kobiet, które podczas kolacji prowadziły rozmowy pełne dwuznaczności, a ich oczy błyszczały prowokującym zaproszeniem do namiętności. W istocie nie pamiętał posiłku z kobietą, której zamierzeniem nie byłoby pobudzenie jego pożądania.

Arina natomiast to tylko dziecko, które musi nauczyć, co ma robić i chronić przed wszystkim, co mogłoby ją przerazić, a takich spraw będzie bez wątpienia wiele. Z głową wspartą na miękkim jedwabiu poduszki wyglądała bardzo młodo i bezbrinnie. Na tle bladej cery ciemne nie wytuszowane rzęsy, w przeciwieństwie do rzęs Olive, przechodziły w złoty odcień na podwiniętych jak u małego dziecka koniuszkach. Markiz patrzył na dziewczynę i myślał, że jest bardzo młoda i krucha, i podobnie jak cenny wyrób

z drezdeńskiej porcelany łatwo można ją zniszczyć brutalnym traktowaniem.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Nie bardzo wiedział, jak im się uda spać oddzielnie, by Champkins tego nie zauważył. Nie było sensu ani potrzeby wciągać pogrążonej we śnie dziewczyny w jakąkolwiek konspirację.

Położył ją ostrożnie na przygotowanym już łóżku. Spała tak mocno, iż uznał myśl o budzeniu jej niemal za okrucieństwo. Sam zsunął jej buciki, potem wprawnie rozpiął i zdjął suknię. Pomyślał z bladym uśmiechem, że po raz pierwszy rozbiera kobietę, która nawet nie jest zainteresowana tym, co on robi.

Gdy otulał ją pościelą, zrozumiał, dlaczego madame Celeste wstrząśnięta była jej szczupłością. Przez chwilę patrzył jeszcze na śpiącą, po czym wziął z łóżka poduszkę, a z krzesła nocną koszulę i szlafrok przygotowane przez Champkinsa. Tak jak oczekiwał, na komodzie leżały dwa złożone pledy, na wypadek gdyby było im zimno. Zabrał wszystko, zdmuchnął świece przy łóżku i zamknął za sobą drzwi.

Sofa w salonie była duża i wygodna, a on czuł się bardzo zmęczony. Niewiele spał ubiegłej nocy, spodziewał się więc, że szybko zapadnie w sen, tymczasem dopiero koło północy udało mu się zasnąć.

Dwuletnia służba w armii po ukończeniu Oksfordu nauczyła go budzenia się o dowolnej godzinie, toteż nim Champkins zszedł na dół ze swego pokoju, markiz był już ogolony i po kąpieli.

— Dzień dobry, milordzie — wykrzyknął służący. — Wcześniej pan wstał!

— Mam do uporządkowania parę spraw przed naszym wyjazdem — rzekł markiz — a ponieważ pani śpi jeszcze, nie chciałem jej budzić.

— Bardzo mądrze, milordzie, jeśli mogę tak powiedzieć — skinął głową Champkins, spoglądając w stronę zamkniętych drzwi sypialni.

— Miejmy nadzieję, że o tej porze roku morze będzie spokojne — rzekł markiz sztywno.

— A teraz, Champkins, chciałbym mieć pewność, że przyszykowane zostały wszystkie niezbędne rzeczy, ponieważ zostawiłem instrukcję panu Grovesowi, że cała reszta ma iść na przechowanie.

Służący skrzywił się.

— Milordzie, czy to znaczy, że nie wrócimy?

— Jeśli nawet wrócimy, to nie do tego mieszkania, lecz do domu Kildononów przy Park Lane — powiedział markiz stanowczo.

Zdecydowany był walczyć z ojcem o dom. Nie zgodzi się na osiedlenie w Szkocji, o ile nie będzie miał czegoś w rodzaju *pied a terre* w Londynie.

Może właśnie sposób, w jaki tłumaczył Arinie ubiegłego wieczoru własne sprawy, dodał mu ducha.

Nie powinien go teraz stracić. Miał wrażenie, jakby utożsamił się ze Szkotami, którzy wbrew znienawidzonej dominacji Anglików zachowali własną tożsamość i dumę.

— A właściwie — odezwał się — dlaczego mielibyśmy płacić składowe, skoro w Kildonon House jest tyle miejsca? Tam będzie dozorczyńni, więc powiem sekretarzowi, aby wszystko stąd usunął i umieścił w sali balowej, dopóki nie urządzę domu wedle moich upodobań.

— Dobra myśl, milordzie — rzekł radośnie Champkins, ale markiz już nie słuchał.

Faulkner sprowadził dwa wielkie powozy. Ciągnięte przez mocne konie, były wygodniejsze od wynajmowanych dorożek. Markiz, Arina i Faulkner mieli jechać pierwszym, a Champkins z bagażem drugim. Zanim wyszli, od madame Celeste przywieziono jeszcze dwa kufry dla Ariny i trzy skórzane pudła z czepeczkami dobranymi do zamówionych przez nich strojów.

— Musimy ustalić — rzekł markiz, spoglądając z uśmiechem na stos pakunków — co będzie pani potrzebne w podróży, co zaś oddamy do ładowni. Wątpię, żeby w największej nawet kabinie mogło się to pomieścić.

Arina patrzyła bezradnie na swój nowy dobytek. Markiz szybko jednak odkrył, że Celeste z właści-

wym jej zdrowym rozsądkiem spisała zawartość każdego kufra. Wybrał więc według własnej oceny najbardziej przydatne rzeczy, nie zapominając o obszytej futrem długiej ciepłej pelerynie.

— Na morzu bywa bardzo zimno — wyjaśnił zdumionej dziewczynie.

Gdy przeglądał kufer z pościelą, rozbawiło go zaskoczenie Ariny, że będą podróżować w takich luksusach. Dopiero na widok kabiny na odbywającym regularne rejsy z Tilbury do Aberdeen statku „Sea Serpent” zrozumiała, dlaczego markiz uznał jego wyposażenie za bardzo niewygodne i zadbał o własną pościel. Dla niej podniecająca była nie tylko morska podróż na wielkim statku, lecz również posiadanie własnej kabiny.

Bieda po śmierci ojca sprawiła, że gdy przeniosły się do maleńkiego domku, zmuszone były dzielić z matką jedną sypialnię. Przebywając w Londynie z ledwością mogły pozwolić sobie na jeden najtańszy pokój w domu noclegowym, bo o dwóch nie mogło być nawet mowy.

Kiedy Champkins przygotował koję Ariny i zaścielił ją wielkim lnianym prześcieradłem, puszystą kołdrą i wygodnymi poduszkami, obsypała go wylewnymi podziękowaniami.

— To przecież prawo jaśnie pani. A teraz, jeśli mogę coś doradzić, to zawsze powinna pani pilnować, aby dostawała to, do czego ma prawo.

— Kłopot w tym — odparła Arina — że zupełnie nie wiem, co to znaczy.

Rozmawiała z Champkinsem spontanicznie i szczerze, bo zdążyła go już polubić i widziała, jak bardzo oddany jest markizowi. Przypominał jej nianię, którą miała, zanim rodzice zbiednieli i nie mogli sobie na nią pozwolić, a Arina była na tyle duża, żeby sama sobie radziła.

Służący uśmiechnął się szeroko.

— Jaśnie pani powinna nosić wysoko nos i patrzeć z góry na ludzi, jakby była od nich wszystkich lepsza!

Zaśmiała się tylko.

— Jestem pewna, że nigdy nie będę się czuła lepsza od kogokolwiek!

— Niech jaśnie pani pamięta, że jest równie dobra jak one wszystkie. Jeśli nie lepsza!

Arina roześmiała się znowu. Miała wrażenie, że Champkins rozprasza wszystkie jej obawy. Wciąż jeszcze bała się, żeby nie zrobić czegoś niewłaściwego i nie pograżyć markiza, wywołując u jego krewnych wątpliwości co do prawdziwości ich małżeństwa.

Przecież był dla niej taki dobry, toteż nie wybaczyłaby sobie, gdyby mu nie pomogła.

Gdy obudziła się rano i pojęła, że znajduje się w łóżku markiza, który ją rozebrał i zaniósł do sypialni, przeżyła wielki wstyd. Początkowo przerażona swym odkryciem miała chęć uciec i ukryć się,

żeby nigdy go już nie spotkać. Szybko jednak ochłoneła i powiedziała sobie, że zachowuje się śmiesznie. Ona jest dla niego nikim i bardzo rozsądną rzeczą było rozebranie jej z kosztownej sukni, którą jej dał. Gdyby przespała w niej całą noc, suknia byłaby teraz straszliwie pomięta. Mógłby zrobić to dla każdej kobiety, bez względu na jej wiek. Jeśli będzie zawstydzona, zakłopotana czy onieśmielona sytuacją, markiz uzna ją za głupią i godną pogardy.

Nie mogła tylko zrozumieć, skąd wiedział, jak zdjąć suknię i jak udało mu się rozpiąć guziki na plecach. Gdy potem upinała przed toaletką włosy, znalazła coś, co ją mocno zadziwiło. Toaletka była typowym męskim mebelkiem, podobnym do tego, z którego korzystał jej ojciec, tyle że znacznie bardziej luksusowym.

Zrobione z kości słoniowej i ozdobione wygrawerowanym herbem markiza szczytki stały na blacie niskiej komódki, a znajdujące się na górze lustro oprawione było w taki sposób, żeby można je ustawiać pod dowolnym kątem. Pod lustrem znajdowały się trzy drewniane szufladki i zafascynowana Arina, nie myśląc o własnym wścibstwie, otworzyła środkową. Zobaczyła trochę monet, a na nich mały puszek do pudru.

Nie mogła wiedzieć, że to Olive upuściła go niechcący, gdy ubierając się ubiegłej nocy stała przed lustrem, żeby się uczesać i poprawić makijaż po po-

całunkach markiza. Puszek spadł na podłogę, gdzie znalazł go Champkins.

Nie był tym zdziwiony. Różne rzeczy zostawiały po sobie „ptaszyny jego pana”, jak nazywał je w myśli. Spinki do włosów, pomadki do ust, małe flakoniki perfum, a nawet części garderoby: Podnosił je zawsze bez komentarzy. Puszek do pudru wcisnął do szufladki z myślą, że później powie o nim markizowi.

Arina patrzyła przez chwilę oszołomiona, potem powiedziała sobie, że jest niemądra. To przecież zrozumiałe, że ktoś tak interesujący jak markiz musi mieć wiele kobiet. Choć zmieszana tym, że przychodziły do mieszkania, które ona uważała za kawalerskie, uznała jednak, że miały równie dobry powód jak ona, by tu przebywać. A poza tym to nie jej sprawa.

Skoro już dokonała odkrycia, że markiz jest mężczyzną a nie aniołem, którego Bóg zesłał, aby uratował jej matkę od śmierci, nie mogła opanować ciekawości. Przy śniadaniu chciała zapytać go, czy spał dobrze, zmuszony do zrezygnowania dla niej z sypialni. Nie mogła jednak zdobyć się na wypowiedzenie tych słów. Starła się więc rozmawiać z nim w naturalny sposób i nie myśleć o tym, że rozebrał ją i położył do łóżka. Sam markiz, zbyt zaprzątnięty przygotowaniem do wyjazdu, zapomniał niemal o wydarzeniach ubiegłego wieczoru.

Po posiłku Arina włożyła czepeczek i okryła się błękitnym szalem, który miała na sobie poprzedniego dnia, po czym wyjechali. Oddalali się od Londynu, a ona cały czas myślami była przy matce. Modliła się o wzmocnienie jej sił i zmniejszenie ryzyka operacji. Wytłumaczyła matce, choć nie miała pewności, czy ją zrozumie, dlaczego wyjeżdża. Przyrzekła pisać co dzień, gdyż wiedziała, że na pokładzie statku będzie miała mnóstwo wolnego czasu. Musiała tylko poprosić Champkinsa o włożenie do walizy papieru listowego.

— Zrobię dla jaśnie pani coś lepszego — rzekł służący.

Nie zapytała go, co ma na myśli, a Champkins nim przygotował jej koję, położył na stole piękny skórzany bibularz i postawił obok niego mały podróżny kałamarz z kilkoma gęsimi piórami.

Kiedy statek wypływał z przystani, Arina poczuła nagły strach na myśl, że zostawia matkę i wszystko, co jest jej dobrze znane. Wybiera się w nieznane miejsce z obcym człowiekiem, żeby przebywać z ludźmi, którzy sądząc z tego, czego się o nich dowiedziała, są przerażający. Zwłaszcza księżę. Spróbowała wytłumaczyć sobie, że to tylko przygoda, a ona byłaby wyjątkowo niewdzięczna i głupia, gdyby nie dołożyła wszelkich starań, aby się nią cieszyć. Tak właśnie myślała jej matka, zanim znalazła się w obecnym ciężkim stanie. Ojciec również starał

się uczynić ze wszystkiego nie tylko interesujące doświadczenie, ale i radosne przeżycie, które mogliby później wspominać.

Może dlatego, że jego ucieczka z matką była wielkim poświęceniem, niewielu ludzi mogło dorównać mu wyobraźnią. Gdy była małą dziewczynką, opowiadał jej historie o leśnych wróżkach i duszkach, o żyjących w puszczy smokach i mieszkających w strumieniach rusałkach. Wyobrażenia umożliwiały mu też codzienne życie w zaczarowanym świecie, dokąd nigdy nie miała wstępu twarda rzeczywistość.

Kiedy mówił żonie, że ją kocha i trudno mu myśleć o czymkolwiek innym, mówił prawdę. Ona patrzyła na niego błyszczącymi oczami i ich małżeństwo było idyllą. Fakt, że mieszkali w nędznym, walącym się domu i nie stać ich było na najmniejszy zbytek, nie miał żadnego znaczenia. Dla nich był to zaczarowany pałac, jedli wspaniałe dania, a córka była darem niebios, dzieckiem z bajki, którym opiekowały się wróżki.

Ojciec zmarł i musiały zmierzyć się z twardą rzeczywistością. Teraz jednak Arina wiedziała już, że nie ma czego się lękać. Gdziekolwiek ojciec się znajduje, nadal kocha je i chroni i to on przysłał markiza, by je wybawił.

Była pierwsza, gdy wypłynęli. Ponieważ „Sea Serpent” nie miał na pokładzie innych pasażerów,

Faulkner załatwił trzecią kabinę, gdzie mogli sami spożywać posiłki. Usunięto z niej wszystko poza przymocowanymi do podłogi kojami, małym okrągłym stolikiem, trzema krzesłami i bocznym pulpitem, z którego podawano jedzenie.

Steward czekał już na nich i gdy postawił przed nią wykwintny pasztet, wiedziała, że to jedzenie zabrał na statek markiz. Potem podano im dobrze ugotowany, zalany galareta ozór wołowy i sałatę, a gdyby Arina miała chęć, mogła być jeszcze nóżka wieprzowa garniowana jabłkami.

Wygłodzony markiz pochłonał mnóstwo jedzenia podczas tego „lekkiego obiadu”, jak nazwał ich posiłek. Arina z trudnością powstrzymała się od komentarza, że takie ilości jedzenia matce i jej wystarczyłyby na całe tygodnie. Niemal czuła przy sobie obecność Champkinsa. Służący podpowiadał jej, żeby zachowywała się tak, jakby te potrawy były dla niej czymś zupełnie zwyczajnym. Jedzenie nie powinno robić na niej najmniejszego wrażenia, co więcej — może nawet czuć się upoważniona do skarg. Parsknęła leciutkim śmieszkiem rozbawiona swoimi myślami i markiz spojrzął na nią pytająco.

— Coś, co powiedział Champkins—odpowiedziała, gdy zapytał, co ją tak rozbawiło.

— Ma niewątpliwie charakterek — zauważył markiz. — Zastanawiam się, jak będzie sobie radził w zamku. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego,

bałbym się, aby mu nie dokuczali dlatego, że jest Anglikiem, ale Champkins chyba nie da sobie zrobić krzywdy.

— Z pewnością, milordzie — przytaknął Faulkner. — Zapewniam jednak pana, że nie jesteśmy takimi barbarzyńcami, jak pan nas przedstawia.

— Jeśli ma pan zamiar czuć się urażony moimi słowami — rzekł markiz śmiejąc się — to jak mi Bóg miły, zawracam i jadę prosto do Londynu. Wiem doskonale, że ojciec będzie miał mi za złe wygląd, sposób mówienia i z całą pewnością także poglądy. Będzie jednak musiał przyjąć mnie takim, jakim jestem, a raczej jakim się stałem, żyjąc na południu.

Faulkner nie odpowiedział. Arina pomyślała, że miała rację widząc w markizie zbrojnego rycerza gotowego do walki z każdym, kto wystąpi przeciw niemu.

Morze było lekko wzburzone, lecz statkiem nie kołysało i Arina po posiłku długo stała na pokładzie, wpatrując się w odległy brzeg Anglii i w stronę Morza Północnego, gdzie niebo stykało się z falami.

— Zdaje się, że sprawia to pani przyjemność — zauważył markiz z nutą zazdrości w głosie.

— Nagle odkryłam, jakie to wszystko fascynujące — odparła. — Miał pan rację, że to przygoda.

— Tyle że dla mnie niezbyt przyjemna.

— A powinna być! — rzekła dziewczyna z naciskiem. — Przygody, nawet jeśli niebezpieczne i nieprzyjemne, zawsze człowieka ekscytują. Jestem pewna, że otwierają przed nim nowe horyzonty, których istnienia nawet nie przeczuwamy. ^x

Dziewczyna mówiła cicho, ale w jej głosie było tyle żaru, że markiz spojrzał na nią zaskoczony. Oczekiwał, że będzie przestraszona i speszona, ona tymczasem zdawała się jaśnieć jakby wewnętrznym blaskiem.

— Cieszę się, że pani tak myśli — powiedział.

— Bałem się, że będzie pani nieszczęśliwa tak jak wczorajszego ranka z powodu opuszczenia matki, i nasza podróż będzie straszliwie przygnębiająca.

— Byłoby wielkim egoizmem z mojej strony, gdybym myślała tylko o sobie — odparła Arina.

— Czytałam kiedyś, że rycerze zawsze czuli się natchnieni, gdy wyruszali, aby zwyciężyć zło dla damy, której barwy nosili. A ponieważ jestem jedyną... damą — dodała nieco zawstydzona — z którą jest pan w tej chwili, mam nadzieję, że bodaj troszkę... pana inspiruję, a przynajmniej... chronię przed uczuciem... zawziętości.

— Skąd pani wie, co czuję? — spytał, gdy zawahała się nad ostatnim słowem. — Nie pamiętam, żebym zbyt wiele o tym mówił.

— Może pan to uznać za impertynencję z mojej strony — odparła odwracając wzrok — ale kie-

dy powiedział pan, że nie chce wracać do Szkocji, a pański ojciec zmusza go do poślubienia szkockiej dziewczyny, czułam, jakim głębokim... gniewem przepełnia to pana i z jaką niechęcią i urazą opuszcza pan Londyn i swoich... przyjaciół.

Gdy mówiła o przyjaciółach, przypomniał jej się puszek do pudru w toalecie. Być może są też inne powody, dla których markiz nie chciał wyjeżdżać.

— Nie myli się pani w swoich odczuciach — odpowiedział. — Jest pani bardzo spostrzegawcza i mam pewność, że potrafi mi pani pomóc.

— Chciałabym — powiedziała Arina — i nie potrafię wprost wyrazić, jak... się wstydzę, że zasnąłam, gdy opowiadał mi pan zeszłego wieczoru takie interesujące rzeczy. Proszę... proszę się nie czuć obrażonym — dodała błagalnie — i opowiedzieć mi to raz jeszcze. Przyrzekam, że tym razem nie... zasnę.

— Wcale mnie to nie zdziwiło — uśmiechnął się. — Miała pani za sobą długi dzień i podejrzewam, że poprzedniej nocy nie spała pani zbyt wiele.

Tak rzeczywiście było. Dziewczynę dręczyła świadomość, że choć matka wymaga tak wielkiej opieki, musi ją opuścić. Arina kilka razy w nocy wstawiała poprawiając jej poduszki lub dając coś do picia.

— A jednak to bardzo niegrzeczne z mojej strony — powiedziała. — Gdybym mogła w jakiś

sposób panu pomóc... to byłaby... najcudowniejsza rzecz na świecie. Tylko jeśli rzeczywiście... coś dla pana zrobię, poczuję, że spłaciłam swój... dług.

— Wyjaśniałem już pani, że to ja jestem jej dłużnikiem — odparł markiz. — Będę więc opowiadał dalej to, co zacząłem ubiegłego wieczoru. Myślę, że jest pani wystarczająco inteligentna, by rozumieć, że gdybyśmy byli rzeczywiście mężem i żoną, wiedziałaby pani o mnie znacznie więcej niż teraz.

— Chciałabym... naprawdę bardzo bym chciała.

— Doskonale — skinął głową — ale ponieważ jest pani zmęczona i zaczyna się robić chłodno, na naszą pierwszą lekcję zejdźmy lepiej na dół.

— Muszę się nauczyć mnóstwa różnych rzeczy — przyznała Arina — ale myślę też, że będzie to dla mnie niezwykle interesujące. Mam tylko nadzieję, że pan się nie... znudzi. Bardzo pragnęła pomóc markizowi. Gdy Champ-kins przyszedł do jej kabiny spytać, czy nie potrzebuje czegoś z nie rozpakowanych jeszcze waliz, nie wytrzymała.

— Chciałabym... zapytać cię o coś.

— Słucham, jaśnie pani?

— To wszystko jest dla mnie takie nowe. Jeśli przyjdzie ci do głowy coś, czym mogłabym pomóc

jego lordowskiej mości i sprawić, aby czuł się szczęśliwszy, czy będziesz szczery i powiesz mi o tym? Champkins patrzył na nią przez chwilę.

— Nie będę ukrywał — rzekł wreszcie — że zaskoczyło mnie, kiedy pan powiedział, że jest żonaty. Ale gdy poznałem jaśnie panią i słucham tego, co pani mówi, myślę sobie, że jest pani dokładnie tą osobą, która właśnie teraz z nim być powinna.

— Dlaczego właśnie teraz? — spytała Arina.

— Bo pan jest rozgoryczony i wszystkiego ma dość — odparł służący. — On od tych pomylnych Szkotów uciekł od razu, a teraz musi wracać i nic na to nie można poradzić.

_Wiem, że z powodu śmierci braci jest teraz markizem i któregoś dnia zostanie naczelnikiem klanu, ale czy musi tam wracać, jeśli nie chce?

_Nie ma wyboru — stwierdził Champkins.

_Musi wracać i przyzwyczaić się do baranich podrobów, czy czym tam żywią się ci Szkoci, i cieszyć się z tego!

Nie dodał już, że podsłuchał pod drzwiami, jak Faulkner tłumaczył jego panu, dlaczego musi wracać do Szkocji. Oczekiwał więc tej wiadomości i nie protestował, gdy markiz oświadczył, że wyjeżdżają niezwłocznie do zamku Kildonon.

— Trudno mu będzie przywyknąć — rzekła Arina, jakby myśląc głośno.

— Oczywiście; proszę jaśnie pani — zgodził się Champkins — Jakby inaczej? Zostawić" przyjaciół, zrezygnować z klubu i przyjaciółeczek!

Ostatnie słowo wymknęło mu się, zanim zdążył ugryźć się w język.

— O, przepraszam jaśnie pani, nie powinienem był tego mówić — skonfundował się.

— Dlaczego nie, skoro rozmawiamy szczerze? — odparła. — Podejrzewałam naturalnie, że wiele dam... kochało się w jego lordowskiej mości. Jest przecież taki przystojny.

— Całe mnóstwo! — przyświadczył Champkins z zapalem. — Trzepotały wokół niego jak te ćmy wokół świecy. Ale szybko się nimi nudził. Potem przychodziły do mnie i płakały: „Kiedy go mogę zobaczyć, Champkins? — Proszę cię, Champkins, połóż ten list tak, żeby nie mógł go przeoczyć!”.

Afektowany sposób i mimika, z jaką to wszystko mówił, rozśmieszyły Arinę, ale służący nie przerywał opowiadania.

— Dawały mi napiwki, i to dobre, jaśnie pani, ale ja nic nie mogłem zrobić. Jak pan jest znudzony, to jest znudzony! I może się jaśnie pani domyślać że jak tylko jedna dama odchodzi, przychodzi następna. Tylko na to czeka!

— Jeśli te panie są piękne, dlaczego pan tak szybko... się nudzi? — spytała Arina.

Służący podrapał się w głowę.

— Nie umiem właściwie powiedzieć. Niektóre były takie piękne, że myślałbyś, każdemu mężczyźnie będzie dość. Ale jak mnie jaśnie pani pyta, to myślę, że one są strasznie wymagające i za dużo chcą, a żaden mężczyzna nie lubi myśleć, że go przykuwają. Tyle humoru było w jego głosie, że wybuchnęła śmiechem.

— Strasznie jesteś zabawny, Champkins — powiedziała — ale wiem dokładnie, co masz na myśli.

Rozumiała pragnienie wolności markiza. Jednocześnie pomyślała, że jej ojciec też był „przykuty” do matki, a jednak przez prawie dziewiętnaście lat żyli szczęśliwie. Potem zaczęła się zastanawiać, czy takiej właśnie miłości szukał markiz, i nudził się, gdy jej nie znajdował. Być może jest inny niż jej ojciec, choć obaj byli wybitnie przystojni i wykształceni, obaj wychowani w luksusach. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że ojciec poświęcił wszystko dla miłości, markiz natomiast nie był przygotowany na poświęcenie czegokolwiek. Nigdy zapewne nie kochał tak jak jej ojciec.

Może jednak szuka takiej miłości i ona będzie mogła mu pomóc w tych poszukiwaniach. Nie bardzo wiedziała, jak to zrobić, lecz jeśli uda jej się odnaleźć ten rodzaj miłości, który uczynił jej ojca tak szczęśliwym człowiekiem, wtedy — jak mu powiedziała — uzna, że spłaciła swój dług.

Postanowiła modlić się za markiza. Może ojciec pomoże mu, tak jak pomógł jej i matce. Champkins wyjął z bagażu śliczną suknię z bladozielonej gazy z aksamitną pelerynką obszytą puchem. Arina ubrała się żałując, że nie ma dużego lustra, w którym mogłaby się przejrzeć. Do spódnicy przyczepione były takie same kokardy jak przy staniku; madame Celeste nauczyła ją też, jak ma wpinać kokardę we włosy.

— Jeśli ma pani biżuterię lub grzebyki, nie potrzeba kokard — wyjaśniła — a jeśli nie ma innych ozdób, przekona się pani, że to bardzo przystraja.

Arina wiedziała, że nigdy nie będzie miała biżuterii. Wpięła więc wstążkę we włosy i na czubku zawiązała małą kokardę. W tym figlarnym przebraniu wyglądała zupełnie inaczej niż do tej pory. Podkreślająca zieleń jej oczu suknia kontrastowała ze śnieżną bielą cery.

Wieczór był ciepły i przyjemny. Gdy przeszła do kabiny, gdzie mieli spożyć kolację, markiz już na nią czekał przy stole nakrytym tylko dla dwóch osób. Serce jej zabiło mocniej. Mieli być sami, a to zdecydowanie bardziej ekscytujące niż kolacja w towarzystwie pana Faulknera.

— Faulkner prosi o wybaczenie — rzekł markiz, jakby odgadując jej myśli. — Myślę, że usunął się powodowany częściowo taktem, po części zaś

dlatego, że jak powiedział, jest zmęczony i pragnie udać się na długi nocny wypoczynek.
— Domyślam się, że niezbyt będzie grzecznie, jeśli powiem, że się cieszę — odparła Arina
— ale wolę, gdy jesteśmy sami. Ułatwia to znacznie naszą rozmowę, poza tym może pan kontynuować swoje nauczanie.

Markiz pomyślał, że większość znanych mu kobiet z zupełnie innych powodów pragnęła być z nim sam na sam.

— Nie chcę, aby zaczęła się pani nudzić ze mną

— zażartował.

— Nigdy nie będę znudzona — zaprotestowała

— i przyrzekam, że jeśli nawet tak się stanie, nie zasnę! Obawiam się natomiast — dodała po chwili przerwy — że to pan znudzi się uczeniem mnie.

Sposób, w jaki zaakcentowała słowo „pan” sprawił, że spojrzał na nią ostro.

— Jak się pani domyśla — zaczął — kiedy...

— Zamilkł i nie dokończył. — Rozmawiała pani z Champkinsem — powiedział.

— Skąd pan wie? — Arina zaczerwieniła się.

— Mogę powiedzieć, że czytam w pani myślach, poza tym doskonale wyobrażam sobie, co Champkins pani powiedział — także to, że łatwo mnie znudzić.

— Jestem pewna, że to sprawa pana wielkiej... inteligencji. Większości ludzi trudno panu... dorównać.

— Nie musi pani wierzyć we wszystko, co opowiada Champkins — powiedział markiz z uśmiechem. — Jest u mnie od tak dawna, że ma skłonność do pewnego spoufalania się.

— Bardzo przypomina moją nianię. Mówiła mi różne rzeczy „dla mojego własnego dobra”.

— Ja zawsze sam to sobie mówiłem — roześmiał się markiz — i gdyby Champkins był kobietą, z pewnością zostałby nianią, która na zmianę wychowywałaby dzieci różeczką lub psułaby je niemiłosiernie.

— To doskonały opis i myślę, że Champkins jest bardzo dobrym człowiekiem!

Rozmawiali z ożywieniem, gdy podawano im doskonały posiłek złożony z tego, co markiz zabrał ze sobą na statek. Znalazła się także butelka szampana, który Arina piła tylko przy specjalnych okazjach.

— Papa otwierał zawsze butelkę na Boże Narodzenie i urodziny mamy — powiedziała. — Jak byłam małą, mogłam upić łyczek, a później wolno mi było wypić pół kieliszka.

— Ale teraz jest pani dorosłą młodą damą, a poza tym markizą, myślę, że może sobie pani pozwolić na prawie pełny kieliszek.

— A jeśli będę się chwiać na nogach?

— Wtedy zaniosę panią do łóżka, jak ubiegłej nocy.

Spłonęła rumieńcem na wspomnienie, że ją rozbierał, a on pomyślał, że Arina wygląda uroczo.

— To było... bardzo uprzejme z pana strony — odezwała się poważnym tonem. — Nie podziękowałam rano, bo myślałam, że... pan już o tym... zapomniał,

— Skąd to pani przyszło do głowy? — spytał zaskoczony.

— Bo nie jestem nikim... ważnym i dlatego nie pamięta mnie pan tak jak...

Zawahała się, bo poczuła, że to, co chciała powiedzieć, mogłoby okazać się krępujące.

— Proszę dokończyć — odezwał się markiz po chwili oczekiwania. — Intryguje mnie pani.

— To dość impertynenckie... Może się pan... rozgniewać.

— Nie rozgniewam się i nic, co sobie powiemy nawzajem, nie może być impertynencją. Jeśli mamy doprowadzić naszą przygodę do pomyślnego końca, szczerść jest dla nas obojga sprawą podstawową.

— Cóż... myślałam... może się mylę... że gdy przenosił pan do łóżka jakąś... śliczną kobietę... tak jak te, o których mówił mi Champkins... że te wspomnienia prześladują pana cały czas... i chciał pan to zrobić, bo... to coś dla pana znaczyło.

Sposób myślenia Ariny zaskoczył markiza, szybko jednak uświadomił sobie, że jest on charakterystyczny dla osoby bardzo młodej i niewinnej.

— Być może ma pani rację — rzekł lekko. — Natomiast z tego, gdy panią kładłem do łóżka, pamiętam, że jak na swój wzrost zdecydowanie za mało pani waży. Jeśli więc chce mi pani zrobić przyjemność, proszę jeść i trochę przytyć, żeby wypełnić zapadnięte policzki i całą resztę.

— Postaram się... naprawdę się postaram — zapewniła go dość swobodnie Arina. — Już czuję się... pełniejsza niż wczoraj.

— To tylko pani wyobraźnia — odparł. — Przed panią długa droga, nalegam więc, by wzięła pani jeszcze gołąbka albo cielęciny, jeśli pani woli, chociaż nie jest tak dobrze zrobiona, jak bym sobie życzył.

— Proszę... nie mogę już więcej jeść — powiedziała Arina błagalnie. — Jutro postaram się być bardziej... uległa. Jestem przyzwyczajona do jedzenia na kolację jajka, mamie robiłam jakąś zupę z jarzyn, albo jadłyśmy to, co zostało z obiadu, a było tego zazwyczaj bardzo mało.

Jej wypowiedź przekonała markiza, że dziewczyna w najmniejszym stopniu nie sili się na patos, wyjaśnia jedynie fakty ze swego życia.

— Z tego co pamiętam z zamku ojca - powiedział — wiem, że jest tam mnóstwo jedzenia, i to dobrego, choć nie przyrządza się go tak wykwintnie, jak lubię. W rzece są łososie — wrócił wspomnieniami do przeszłości — w morzu łowi się homary.

Wrzosowiska dostarczają dziczyzny oraz mnóstwo cietrzewi i kuropatw, tylko o tej porze roku jeszcze są one za małe.

— To brzmi bardzo interesująco! — wykrzyknęła Arina. — A Champkins powiedział, że będzie też szkocka potrawa z baranich podrobów.

— Oczywiście — przytaknął markiz. — Potrawka barania i owsianka na śniadanie. Nic lepiej pani nie podtuczy!

Przy tych słowach przypomniał sobie wielką miskę owsianki podawaną zawsze na śniadanie w dużej sali jadalnej na pierwszym piętrze zamku. Pamiętał, jak napełniano owsianką jego drewnianą miseczkę oprawioną w srebro, którą dostał przy chrzcie, przypomniał też sobie dodawanie soli do potraw. Potem na żądanie ojca musiał w czasie jedzenia spacerować. Wedle dawnej szkockiej tradycji owsiankę spożywało się na stojąco, na wypadek gdyby w tym czasie nastąpił atak ze strony rywalizującego klanu.

Zastanawiał się, czy wyjaśnić ten obyczaj Arinie, jednak zrezygnował z tego, ponieważ damom wolno było jeść owsiankę przy stole.

— Ciekawe — rzekł głośno — że zapomniałem o tak wielu tradycjach znanych mojemu ojcu i innym krewnym. Jeśli wyjdzie teraz na jaw moja ignorancja, nie tylko ich to oburzy, ale dostarczy im broni przeciwko mnie.

— Jestem przekonana — odezwała się Arina po chwili — że... takie myślenie... to błąd z pana strony.

— Jak mam to rozumieć? — spojrzał na nią ostro.

— Powiedział pan, że mam... mówić prawdę... a ja myślę, że nie powinien pan wracać do domu z takim... wrogim nastawieniem. Papa zawsze powtarzał, że... człowiek otrzymuje tyle, ile daje... Uważam, że to prawda. Udajemy, że jesteśmy małżeństwem i sędzę, że byłoby... mądrze, gdyby udawał pan także, że... cieszy się z ponownego spotkania z ojcem... i z pobytu w domu. Jeśli spodziewają się, że będzie pan niezadowolony i zawzięty, spotka ich wielka niespodzianka. — Kończąc te słowa, spojrzała na niego i dodała pospiesznie: — Przepraszam, ale... pozwolił mi pan mówić...

Słowa zamierały jej w gardle, gdy patrzyła na markiza rozszerzonymi ze strachu oczami. Przez chwilę miał chęć powiedzieć, że to nie jej sprawa i że nie ma prawa wygłaszać mu kazań. Potem jednak uznał, że słowa dziewczyny brzmią rozsądnie, i zachował dla siebie tamte myśli.

— Chciałbym, aby zawsze mówiła mi pani, o czym myśli, tylko zaskoczony jestem rozsądkiem pani opinii.

— Nie... gniewa się pan?

— Ależ oczywiście, że nie! Tylko że przez panią poczułem się jak głupiec.

— Przecież pan... nigdy nim nie będzie!

— Mam nadzieję, że się pani nie myli, ale ukazała mi pani sprawy w zupełnie innym świetle, niż je do tej pory widziałem.

— Wiem, że to dla pana bardzo, bardzo trudne — rzekła Arina miękkim głosem. — Zostawić wszystko, co miało dla pana jakieś znaczenie.

— Westchnęła lekko. — Czuję się jak jasnowidząca

— dodała szybko — kiedy mówię panu, że sprawy nie ułożą się tak źle, jak się pan spodziewa.

— Skąd pani to przyszło do głowy?

— Nie potrafię tego wyjaśnić, ale moje przekonanie wynika z pana witalności i energii. Każda przeszkoda, o której pan pomyśli, znika jak mgła pod przebijającym się przez nią słońcem, gdy tylko pan się pojawi.

Ze zdumieniem słuchał rozmarzonego głosu Ariny.

— Mam nadzieję, że ma pani rację — rzekł po chwili. — Jeśli tam jest mgła, a może być, pewien jestem, że razem uda nam się ją rozproszyć.

Zobaczył, jak przy słowie „razem” w oczach dziewczyny zapala się światło. Z pewnością myślała o tym, jak cudownie byłoby, gdyby udało się jej udzielić mu pomocy.

Uniósł kieliszek.

— Za nas, Arino! Razem w naszą dziwną i miejmy nadzieję, podniecającą przygodę!

ROZDZIAŁ 6

— Jest cudowny! Piękny! Taki właśnie zamek powinien pan mieć!

Głos Ariny brzmiał wielką egzaltacją i markiz poczuł, że sam równie mocno reaguje na otwierający się przed nimi widok. Od momentu gdy przybyli do Aberdeen i przenieśli się na łódź księcia, rozpierało go uczucie dumy.

Całkiem nieoczekiwanie pomyślał, że podróż była dla niego bardzo przyjemna.

Spodziewał się nudnych trzech dni i nocy, a tymczasem spędzał czas na interesujących rozmowach z Ariną i często dotyczyły one ich wspólnych lektur. Odkrył też, że dziewczynę stać nie tylko na zadawanie inteligentnych pytań, ale gotowa jest dyskutować z nim zawzięcie. Nie wytrzymał wreszcie i zapytał ją, skąd w niej ta bystrość i wyjątkowa czasem logiczność myślenia.

— Rodzice mieli zwyczaj czytać na głos każdego wieczoru. Potem wraz z mamą prowadziłyśmy z papą dyskusję, czy autor w swych osądach miał rację czy też nie. Papa zazwyczaj zwyciężał w tych sporach, ale było to bardzo podniecające i często bywałyśmy dość agresywne. Z panem — zaśmiała się — nie mogłabym sobie na to pozwolić. Markiz musiał jednak mocno wysilać swą inteligencję i gdy dopłynęli do Aberdeen, przyznał, że podróż nie była dla niego przygnębiająca, lecz pobudzająca i odprężająca. Przyjemność sprawiło mu powitanie, jakie zgotowało im kilku wspaniale prezentujących się w kiltach członków klanu, którzy przeprowadzili go wraz z Ariną do przycumowanej łodzi księcia. Kobziarz powitał ich na pokładzie „Zwycięstwem dla McDononów”, a odpływającej z przystani łodzi towarzyszyły okrzyki zgromadzonych w porcie gapiów. Pierwsze spojrzenie na zamek wywołało w Alinie przestraszanie, natomiast markiz poczuł dumę, jakiej nigdy przedtem nie przeżywał. Na całym szkockim wybrzeżu nie było równie wspaniałego zamku jak Kildonon. Zbudowany wysoko nad zatoką, oddzielony od morza ogrodami, wyglądał imponująco na tle wznoszących się ku niebu wrzosowisk. Nie tylko sam zamek z jego wieżami i wieżyczkami był piękny. Markiz zdążył już zapomnieć, jak cudowne,

piękniejsze niż w jakiegokolwiek części świata, jest w tym zakątku Szkocji światło. Zdawało się zmieniać przy najdrobniejszym ruchu chmur i w środku malującego się przed nimi obrazu zamek jarzył się niczym klejnot.

Widzieli oczekujących ich tłumnie członków klanu i gdy łódź zaczęła posuwać się wzdłuż długiego drewnianego mola wychodzącego z zatoki, natrętne dźwięki kobz wypełniły powietrze.

Markiz nigdy nie przyznałby się, że odczuł w tym momencie brak tradycyjnego stroju, który odrzucił z pogardą, gdy wraz z matką opuścił Szkocję. Powitanie zgotowane przez McDononów oraz okazany mu szacunek, wywołały w nim ponowny przypływ dumy. Gdy wraz z Ariną w eskorcie czterech kobziarzy szedł przez zamkowe ogrody, zrozumiał, że wrócił do domu i został przyjęty jako przyszły naczelnik klanu.

Wznosząca się pośrodku ukwieconego ogrodu fontanna wyrzucała opalizujące w słońcu strumienie wody. Potężne kamienne schody zaprowadziły ich na otoczony balustradą taras. Znaleźli się przed chroniącymi wejścia od czasów średniowiecza wielkimi, nabijanymi żelaznymi gwoździemi drewnianymi drzwiami.

We wnętrzu spotkali członków klanu bezpośrednio związanych z domem, którzy witali markiza po angielsku i po celtycku. Jednak bardziej wymowne

od słów były uśmiechy i rozradowane jego widokiem oczy.

Szerokimi schodami weszli na pierwsze piętro. Tam znajdowała się sala naczelnika, gdzie z pewnością czekał ojciec. Markiz lekkim grymasem zareagował na myśl, że już od pierwszej chwili ojciec chce uświadomić mu jego nową pozycję i przyjąć go formalnie jak marnotrawnego syna.

— Markiz Kildonon przybył, wasza miłość! — obwieścił stentorowym głosem majordomus.

Wielka sala ze ścianami obwieszonymi tarczami, starymi obosiecznymi mieczami i portretami poprzednich naczelników zrobiła na Arinie wielkie wrażenie. Przez chwilę nie mogła skoncentrować się na postaci czekającego na nich w głębi sali mężczyzny.

Wysokie krzesło, w którym siedział książę, wyglądało niemal jak tron. Arina czuła się zdenerwowana i skrepowana, gdy wraz z markizem szła szpalerem ubranych w kilty, sztywno wyprężonych na ich powitanie mężczyzn. Widziała, że podobnie jak ci, którzy witali markiza na łodzi i na molo, przyglądają się jej z ciekawością. Markiz nie zdradził, kim ona jest, przedstawił ją członkom klanu tylko z imienia.

Serce Ariny biło szybko i jedyną pociechą była dla niej świadomość, że doskonale wygląda. To Champkins zasugerował, aby włożyła suknię w ko-

lorze głębokiego błękitu, będącego jakby odbiciem barwy morza, oraz czepeczek z obszytymi koronką skrzydełkami i główką ozdobioną maleńkimi jasnymi różyczkami. Gdy wyszła z kabiny tuż przed ich przybyciem do Aberdeen, markiz popatrzył na nią z uznaniem. Miał świadomość, że jej wygląd jest nie tylko zasługą sukni. Przez trzy dni, które spędzili na morzu, dziewczyna jadła do syta, twarz jej się wypełniła i zniknęły objawy zagłodzenia.

Droga, którą Arina miała do przebycia u boku markiza, wydawała się nie mieć końca. Wreszcie zatrzymali się przed starym człowiekiem.

Książę milczał. Przez chwilę patrzył tylko na syna spod krzaczastych brwi.

— Witaj w domu, Alistairze — odezwał się wreszcie głębokim, władczym głosem. — Cieszę się, że cię widzę.

Uniósł dłoń, a markiz przytrzymał ją, po czym wbrew zapewnieniom, że niczego podobnego nie zrobi, na ułamek sekundy dotknął kolaniem posadzki. Wiedział, że ojciec jako naczelnik klanu oczekuje od niego takiego hołdu, W czasie podróży mówił sobie, że szlag go trafi, jeśli się poniży, teraz jednak gest ten wydał mu się naturalny.

— Jak się masz, panie? spytał z ręką wciąż w dłoni ojca. — Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

— Zbyt wiele! — rzucił krótko książę, po czym przenikliwie niczym u orła oczy zwrócił na Arinę.

Nie potrzebowała żadnych słów, by domyślić się, co książę chce wiedzieć, i przerażona wstrzymała oddech.

— A teraz, ojciec — rzekł markiz, a jego głos dźwięczał tak mocno, że wszyscy musieli go usłyszeć — przedstawiam ci moją żonę.

— Twoją żonę! — powtórzył zdumiony książę. — Jesteś żonaty — rzucił ostro, zanim markiz zdołał cokolwiek powiedzieć. — Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

— Nasz ślub był bardzo cichy — wyjaśnił markiz. — Powody podam ci później.

Zapadła cisza, jakby nawet książę nie wiedział, co powiedzieć. Po chwili spod bocznej ściany odeszła niepostrzeżenie kobieta. Z wysoko uniesioną głową skierowała się do księcia i stanęła przed jego krzesłem, patrząc prosto w twarz markiza. Przystojna w nieco męskim typie, miała wyraziste rysy. Kasztanowe włosy z rudawymi refleksami były starannie upięte pod tartanowym czepeczkiem. Na wpiętej z boku broszy markiz rozpoznał herb McNainów.

Głos księcia zmienił się znacznie, choć wszelkie słowa były tu zbędne.

— Lady Moraig, nie poznała pani mojego syna Alistaira?

— Nie, ale cieszyłam się na to — głos kobiety brzmiał czysto i pewnie, bez śladów wahania.

— To coś nowego widzieć w tej sali przedstawiciela McNainów — rzekł markiz nieco drwiąco, ujmując podaną mu dłoń.

— Mój brat i ja uznaliśmy, że czas już zapomnieć o nienawiści, która przez stulecia kazała nam zabijać się wzajemnie.

— Zgadzam się z panią — odparł markiz. — Pani pozwoli, że przedstawię jej moją żonę. Skiniecie głowy, którym zaszczyliła ją lady Moraig, było bardzo wymowne i dało Arinie wyraźnie do zrozumienia, że jest intruzem. Wyczuła też jawną wrogość księcia do angielskiej kobiety. Z pewnością nawet przez chwilę nie wyobrażał sobie, że markiz mógłby poślubić osobę tak obcą klanowi i zdecydowanej większości Szkotów. Że jednak nie było to ani miejsce, ani czas na wzajemne obwinianie się, książę powstał sztywno.

— Jest tu wielu naszych krewnych, którzy pragną cię poznać, Alistairze.

Markiz skinął głową i książę z synem u boku postąpił kilka kroków do przodu. Obecni w sali podchodzili, żeby ich przedstawiono. Niektórzy ściskali mu rękę na powitanie, inni tylko kłaniali się z szacunkiem, ale markiz z każdym zamienił kilka serdecznych słów, zwłaszcza że wielu z nich pamiętał z dawnych lat.

Ktoś w tym czasie podsunął Arinie i lady Moraig krzesła. Dziedziczka klanu McNainów odmówiła pogardliwie. Z kamienną twarzą stała sztywno wyprostowana w pewnej odległości od Ariny, dając jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie jej towarzystwa. Prezentacje zostały zakończone i wydawało się, że księżę ma zamiar opuścić salę. Markiz skinął na Arinę. Podniosła się natychmiast i gdy znalazła się u jego boku, lady Moraig również doń podeszła.

— Jakie to uczucie, gdy wraca się do owczarni po tak długiej nieobecności? — spytała.

— Udzielę pani odpowiedzi nieco później — odparł markiz wymijająco.

— Pan wie, że jego ojciec miał plany zjednoczenia naszych klanów w zgodzie i harmonii — rzekła, ignorując obecność Ariny.

— Tak, słyszałem, że wyraziła pani zgodę na poślubienie mojego brata.

— Biedny łan — powiedziała lady Moraig nieco łagodniejszym tonem. — My oboje jednak powinniśmy myśleć nie tylko o sobie, ale także o naszym narodzie.

— Oczywiście — zgodził się markiz. — I cieszę się z góry na to, że przedstawię moją żonę McNainom.

Jego odpowiedź usunęła uśmiech z ust kobiety, która przez moment mierzyła Arinę twardym spoj-

rzeniem. Doszli do drzwi i lady Moraig nie podażyła za prowadzącym do salonu księciem, tylko zeszła schodami na dół. Arina wyczuwała jej gniew i złość niemal tak mocno, jakby Szkotka wyraziła je w gwałtownych słowach.

— Przykro mi... że tak się zachowała — rzekła do markiza cicho, by tylko on mógł ją słyszeć.

— Jestem ci wdzięczny.

Ich oczy spotkały się i Arina wiedziała, że choć lady Moraig jest w pewien sposób pociągająca, nie wytrzymuje porównania z pięknymi damami, za którymi wedle opowieści Champkinsa szalał markiz.

Weszli do salonu. Znaleźli się w otoczeniu bliskich krewnych księcia i Arina nie miała już możliwości zamienić z nim więcej słowa. Byli wśród nich kuzynowie oraz mieszkające w pobliżu starsze kobiety. Młodzi wpatrywali się w markiza szeroko otwartymi oczami, przy czym chłopcy z uznaniem oceniali modny strój, dziewczęta zaś wyraźnie zafascynowane były jego urodą.

Książę przerwał wreszcie sztywną nieco i wymuszoną rozmowę.

— Chcę pomówić z tobą na osobności — zwrócił się do syna groźnym tonem. —

Przejdźmy do biblioteki.

— Tak jest, ojczy — odparł markiz — ale najpierw odprowadzę Arinę do sypialni, żeby mogła odpocząć przed kolacją.

— Domyślam się, że wiesz, gdzie śpicie—rzekł księżę krótko.

— Naturalnie — przytaknął markiz. Znaleźli się w długim korytarzu za salonem i Arina odetchnęła z ulgą. Ostatnia godzina, kiedy robiła co mogła, aby uwolnić się od ciekawskich pytań kobiet, stanowiła dla niej ciężką próbę i dziewczyna czuła się straszliwie zmęczona. Markiz otworzył drzwi i weszli do wielkiego pięknego pokoju z dużym łóżem na rzeźbionych nogach. Otwarte palenisko było tak ogromne, że można było na nim palić balami. Arina oglądała wszystko z zaciekawieniem. Przez wychodzące na ogrody okna widać było morze. Na dywanie leżał chodnik ze skór żbików. Pokój urządzony był z surową majestatyczną prostotą.

Markiz zamknął drzwi.

— Muszę ci pogratulować — powiedział. — Świetnie poradziłaś sobie w tej trudnej sytuacji.

— Naprawdę tak uważasz? — spytała. — Tak się bałam, żeby cię nie zawieść.

— Uratowałam mnie!

— Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie pragniesz... poślubić lady Moraig — powiedziała Arina cicho. — A jednocześnie myślę, że twój ojciec mnie... nienawidzi!

— Niemniej jednak wierzy w to, że jesteś moją żoną, a na to nic nie może poradzić.

— Lady Moraig była również bardzo... zagniewana — mówiła dalej Arina. — Czy to oznacza, że nienawiść między waszymi klanami rozgorzeje na nowo i znowu... zaczniecie ze sobą walczyć?

Jej przygnębienie było tak widoczne, że markiz musiał się roześmiać.

— Oczywiście, że nie — rzekł — Jesteśmy teraz znacznie bardziej cywilizowani niż kiedyś. Z pewnością starszyzna obu klanów wkrótce będzie odnosić się do siebie nawzajem z szacunkiem i ludzie będą się zachowywać jak istoty ludzkie, a nie jak barbarzyńcy.

— Może lepiej byłoby dla wszystkich... gdybyś ją... poślubił.

— Prędzej umrę! — odrzekł markiz ostro. — Odpocznij teraz i przygotuj się na bardzo oficjalną kolację. Ojciec spożywa ją z wielką pompą.

Wyszedł z pokoju i natychmiast, jakby tylko na to czekały, dwie pokojówki pospieszyły, aby pomóc Arinie w rozbieraniu się.

Markiz wracał znad rzeki do zamku. Szedł na skróty przez nie rozkwitłe jeszcze wrzosa, myśląc z zadowoleniem, że ma się czym pochwalić. Od rana złowił cztery łososie, mimo że nie trzymał wędki w ręce od czasu, gdy miał dwanaście lat.

Dwóch giermków niosło za nim ryby, oszczep do polowania i wędkę, a on kroczył szybko przodem,

niecierpliwie czekając na pochwalenie się przed Ariną własną zręcznością. Jutro namówi ją do pójścia nad rzekę i nauczy łowienia ryb. Z pewnością jej się to spodoba.

Był mile zdziwiony, jak Arina przystosowała się do życia na zamku. Jej sposób bycia w nikim nie budził sprzeciwu, nawet w księciu. Widać było, że Szkocja podoba jej się tak samo jak jemu.

Szedł teraz w stronę zamku myśląc, że to jego dom. Wbrew wcześniejszym przewidywaniom, że każdą chwilę w nim spędzoną przepełniać będzie uczucie nienawiści, bez wysiłku podjął życie, z którym rozstał się piętnaście lat temu. Wystarczyło usłyszeć kobziarzy budzących go rankiem, aby lata spędzone na południu zbladły i rozproszyły się niczym mgły nad wrzosowiskami. Bez względu na to, co mówi rozum, znowu jest Szkotem żyjącym na własnej ziemi, reagującym na dawne obyczaje przyspieszonym krążeniem krwi w żyłach. Kobzy, wrzosa, mgły, witający go członkowie klanu, wszystko tak znane, że aż dusza wyrywała się ku temu.

Spał na wąskim łóżku w pokoju przyległym do sypialni Ariny, czując się absurdalnie urażony, że nie leży w wielkim łożu podpartym czterema kolumnami, które od pokoleń należało do najstarszego syna naczelnika klanu.

Jednak największe zmiany zauważył w wyglądzie ojca. Wydał mu się jakby skurczony, mniejszy

od mężczyzny, którego pamiętał. Potem zrozumiał, że po prostu wyrósł z chłopięcego strachu przed ojcem. Poza tym ksiązę postarzał się. Chociaż zachował władczy ton przy wydawaniu rozkazów, jeśli nikt mu się nie sprzeciwiał, był spokojny i miły. Nastawiony wojowniczo markiz odkrył, że nie ma wcale potrzeby z ojcem walczyć.

— To dla mnie wielkie rozczarowanie, Ałis-tairze — skarżył się ksiązę — że poślubiłeś kobietę z południa, gdy zaplanowałem dla ciebie miejsce po twoim bracie i poślubienie lady Moraig McNain.

— Tak mówił Faulkner—odparł markiz—lecz jestem już żonaty, więc jest to niemożliwe.

— Ma się rozumieć — zgodził się ksiązę — ale to wielka szkoda. Naprawdę wielka szkoda!

Ku zdumieniu markiza rozmowa na tym się skończyła. Ksiązę wprawdzie nadal przyglądał się Arinie nieufnie, starał się jednak być dla niej grzeczny. Dziewczyna zajęła należne jej w tym domu miejsce i wszystko ułożyło się lepiej, niż oczekiwał markiz.

Para kuropatw poderwała mu się niemal spod samych stóp i z radością pomyślał o rozpoczynającym się w sierpniu sezonie polowań. Spodziewał się, że będzie opłakiwał Ascot, przyjaciół w klubie oraz odbywające się każdej nocy w Londynie bale, a tymczasem wszystko to stało się dla niego tak bardzo odległe.

Gdy wstawał rano, rzadko myślał o przeszłości. Zastanawiał się, z kim się spotka i kiedy pójdzie nad rzekę. Przychwycił się na planowaniu, co może zmienić, jeśli będzie dysponował już pewną władzą. Zdawał sobie sprawę, że ponieważ ojciec się starzeje, podlegający mu ludzie, choć lojalni i wciąż oddani, stają się niedbali i potrzeba mocnej ręki, żeby się nie opuszczali w obowiązkach.

— Mnóstwo tu jest do zrobienia, Champkins

— rzekł przy ubieraniu.

— Zauważyłem to, milordzie — odparł służący

— ale wasza miłość poradzi sobie jak zawsze. Markiz uśmiechnął się tylko i gdy tego samego ranka wrócił znad rzeki, wydał Champkinsowi dziwne polecenie.

— Znajdziesz gdzieś ubrania mojego brata. Jestem pewien, że mam prawie te same rozmiary co lord Colin. Odszukaj mi ubranie wieczorowe, a jutro na ryby mógłbym włożyć kilt.

Opuścił pokój i nie dostrzegł uśmiešku służącego. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby usłyszał, co Champkins mruknął pod nosem:

— Człowiek nie ucieknie od własnej krwi. Zawsze go w końcu dopadnie.

Arina przechadzała się po ogrodzie. Po wydłużających się cieniach wiedziała, że markiz wróci niedługo znad rzeki i siądą razem do herbaty. Po-

spieszyła po kamiennych schodach, rozglądając się wokoło, oczarowana tak samo jak w dniu, gdy po raz pierwszy ujrzała zamek. Wszystko tu było piękne i dokładnie takie, jakie powinno być w zamku. Brakowało jej słów, gdy opisywała swe wrażenia matce.^K

Przeszła przez wielki marmurowy hol obwieszony chorągwiami zdobytymi w bitwach przez McDononów i pobiegła schodami na górę. Miała nadzieję, że na podwieczorku nie pojawi się zbyt wiele osób i będzie miała markiza dla siebie. Wiedziała już, że zamek jest domem otwartym dla wszystkich krewnych i przyjaciół, którzy mogli przyjść tu o dowolnej porze i zawsze byli gościnnie przyjmowani.

Podwieczorek przygotowany był przy dużym okrągłym stole w mniejszym salonie.

Nikogo jeszcze nie było, choć stół był już zastawiony bułkami, rogalikami, naleśnikami, kruchym ciastem i pierniczkami. Stały na nim jeszcze placki z mąki owsianej, plaster miodu i wielka osełka złocistego masła z wyciśniętym herbem McDononów. Przywykła już, że herb znajdował się prawie wszędzie.

Usłyszała za sobą kroki i odwróciła się. Popatrzyła na ogorzałą od słońca i morskiego wiatru twarz markiza i pomyślała, że jest jeszcze przystojniejszy niż w Londynie.

— Szukałem cię, Arino — powiedział. — Wyobraź sobie, że złapałem cztery łososie i jeden z nich

waży ponad trzynaście funtów! — w jego głosie brzmiały triumfalne nuty jak u małego chłopca.

— To fantastyczne! — wykrzyknęła. — Bardzo się cieszę. Mogę zobaczyć?

— Położy się je na marmurowych płytach w spiżarni na dole. Pokażę ci po podwieczorku albo jutro.

— Pewnie jesteś głodny — powiedziała i usiadła przy stole. Na srebrnej tacy stał imbryk z wodą, czajniczek esencji i wszystko co potrzebne do herbaty, a każda sztuka zastawy miała wytłoczony herb McDononów.

Markiz posmarował naleśnik grubo masłem i zaczął opowiadać. Mówił, jak złowił cztery ryby, a stracił dwie inne, jak potem przegrał z jedną, która szarpała się na wędce przez piętnaście minut. Zapał, z jakim opowiadał, różnił się zdecydowanie od znudzonej, wyniosłej manieri jego londyńskich wypowiedzi. Nikt więcej na podwieczorek nie przyszedł i długo siedzieli rozmawiając we dwoje.

— Muszę się wykapać — powiedział na zakończenie. — Z pewnością przyjdzie ktoś na kolację, chociaż nie pamiętam, kto taki.

— Zupełnie jakby każdego wieczoru było przyjęcie — zauważyła Arina.

— A dlaczego nie? — spytał. — Mamy mnóstwo służby do obsługi, a jedzenie jest dobre.

— Zbyt dobre! — roześmiała się. — Coś mi się zdaje, że moje nowe suknie zaczynają być za ciasne.

— To właśnie chciałem usłyszeć — rzekł markiz. — Czy muszę ci mówić, że wyglądasz znacznie lepiej, no i dzięki temu ślicznie?

Nie spodziewała się takiego komplementu. Na twarzy jej pojawiły się rumieńce i zawstydzona spuściła oczy.

— Ślicznie! — powtórzył z naciskiem. Spojrzała na niego. Oboje nie mogli odwrócić od siebie wzroku. Gdy przeszła do swego pokoju, słyszała, jak chodzi za sąsiednimi drzwiami przebierając się do kolacji i rozmawia z Champkinsem. Pragnęła tam wejść, być z markizem choć przez krótką chwilę, zanim przybędą goście na kolację.

Zadzwoiła na pokojówkę i przebrała się szybko w piękną haftowaną suknię wykończoną koronką. Miała nadzieję, że wytworniejszym niż zwykle strojem zwróci uwagę markiza. W pokoju obok zapanowała cisza. Albo brał długą kąpiel, albo przeszedł już do salonu, gdzie mają się spotkać przed kolacją.

Niecierpliwie pobiegła korytarzem i ku swemu zaskoczeniu zobaczyła, że salon jest pusty.

Uświadomiła sobie, że do kolacji zostało jeszcze pół godziny, więc zeszła na dół sprawdzić, czy nie ma go na kamiennym tarasie. Tam też nikogo nie było.

Słońce kryło się za wrzosowiska, niebo miało kolor intensywnego błękitu. Schodziła powoli po kamiennych stopniach do ogrodu, jak zawsze oczarowana otaczającym ją pięknem. Cienie tu były

znacznie dłuższe, mocna woń róż i lewkonii unosiła się w powietrzu, wzmocniana zapachem jaskrawo kwitnących krzewów.

Już miała pójść w stronę trawnika, gdy od strony krzewów dobiegło ją ciche zawodzenie. Stała nasłuchując. Dźwięk się powtórzył. Pomyślała, że może to schwytane w pułapkę zwierzę. Nie mogąc znieść odgłosów cierpienia rozsunała krzewy, aby zobaczyć, co się stało. Poczula uderzenie w tył głowy i krzyknęła cicho z bólu. Ogarnęła ją ciemność i dziewczyna straciła przytomność.

Powoli odzyskiwała świadomość. Bolała ją głowa i oddychała z wysiłkiem. Leżała na plecach, twarz miała przykrytą czymś grubym i ciężkim. Zaskoczona i niezbyt jeszcze przytomna, nie wykonała żadnego ruchu.

— Oi ma nadzieję, co ji nie posianiacył — usłyszała męski głos. — Miłościwa pani powiedziała, co żadnych śladów na ni ma nie być.

— Oi walnuł jom, jak mu kazano, tam z tyłu, w głowa — odparł drugi głos. — Pod włosami nijakich sińców nie widać.

Zaintrygowana Arina dopiero po chwili odzyskała jasność myślenia. Domyśliła się, że to ludzie, którzy ją uderzyli, i rozum podpowiedział jej, żeby się nie ruszała, bo mogą uderzyć ponownie. Gdzieś z podświadomości zaczęło wypływać wspomnienie opowieści ojca o tym, jak po bitwie ranni żołnierze

udawali martwych, gdy pojawiały się hieny cmentarne i okradały ich ze wszystkiego. — Kiedy ranny próbował bronić się przed ograbieniem, zabijali — powiedział ojciec. — Zdarzyło mi się kiedyś, że zostałem przy życiu tylko dzięki wielogodzinnemu udawaniu trupa.

Matka krzyknęła wtedy przerażona, ale tamto wspomnienie kazało Alinie leżeć bez ruchu. Myślała tylko gorączkowo o tym, co jej się przydarzyło. Wiedziała, że skoro mężczyźni wspomnieli o „miłościwej pani”, porwano ją na polecenie lady Moraig.

Tylko dlaczego musieli być przy tym tacy brutalni? Pulsujący ból w tyle głowy nie przechodził, wiedziała jednak, że mogło być gorzej. Chcąc wyglądać jak najlepiej, upięła włosy w węzeł, który pokojówka umocowała spinkami, dodając jeszcze na czubku dopasowaną do sukni małą koronkową rozetkę. Wyglądało to bardzo ładnie i teraz Arina rozumiała, że gdyby nie zwinięte włosy, nie odzyskałaby tak szybko przytomności.

— Jak daleko mamy jom zabrać? — usłyszała pytanie.

— Troszkę dalej — odparł drugi mężczyzna — ale nie tak znowuż daleko. Ma wyglądać, jakby powiosłowała na morze.

— To mi troszkę wygląda nie tak — zauważył pierwszy. — Przecie to ino taka mikra dziewczyna.

— Jaśnie pani sama taka owszem, owszem, to myśli, co inne som takie same. Mężczyźni zaśmieli się nieco drwiąco, jakby niezbyt podobały im się herkulesowe cechy ich pani.

— Ładne je to małe storzynie — zauważył jeden.

— Angieleczka! — rzucił drugi z pogardą.

— Kobita to zawsze kobita! — brzmiała odpowiedź.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli polecono im porwać ją i porzucić w łodzi gdzieś na morzu, lady Moraig musiała zlecić to zadanie wybranym sługusom. To co usłyszała potem, pozwoliło jej zrozumieć, jakie plany mieli w stosunku do niej. Obaj bracia markiza zginęli na morzu, gdy wypłynęli na połów. Teraz ma wyglądać tak, że ona również powiosłowała poza osłonę zatoki i utonęła, ponieważ nie starczyło jej sił, żeby dopłynąć do brzegu. Myślała, że pozostawią ją dryfującą na fali, lecz ich zamiary były inne. Wiosłował tylko jeden mężczyzna, a uderzenia jego wiosel były coraz wolniejsze, aż wreszcie zaprzestał pracy.

— Myślisz, że będzie dość? — zabrzmiało pytanie.

— Oi tak myśli, no i nadchodzi troszkę wiaterku. Za niedługo będzie bujało.

— Może trza poczekać co nieco. A jak dojdzie do siebie i zacznie się szarpać?

— Nie będzie — stwierdził drugi. — A jakby co, Oi walnie jeszcze raz w jej głowa.

— Siniaki bedom!

Arina niemal zobaczyła, jak drugi mężczyzna wzrusza ramionami.

— Zaczem ji ciało wypłynie na brzeg, nie bedom szukać siniaków.

Nagle uświadomiła sobie, co mają zamiar zrobić. Niemal widziała, jak plan rodził się w umyśle lady Moraig. Piękny cichy wieczór sprawił, że Arina wypłynęła na morze. Łódź wywróciła się, czy też z dna wybity został szpunt, i dziewczyna utonęła. Gorączkowo zastanawiała się, ile czasu będzie musiała odczekać od momentu wrzucenia jej do wody, żeby podjąć próbę ratowania się. Gdyby ci ludzie wiedzieli, że jest dobrą pływaczką, mogliby uderzyć ją znowu, a wtedy, nieprzytomna, utonęłaby.

Zaczęła się modlić, aby ojciec znów ją wyratował. Czuła, że ją słyszy, i tak jak wysłał markiza na ratunek matce, teraz przyśle go do niej. Miała jednak przerażającą świadomość, że markiz nie będzie wiedział o jej zniknięciu aż do momentu udania się na kolację. Dużo też czasu upłynie, zanim komukolwiek przyjdzie do głowy, że Arina może być w łódce na morzu.

Zawsze gdy opowiadała mu o swym wiejskim życiu, mówiła o tym, jak uwielbia konną jazdę. Nie miała jednak powodu, aby tłumaczyć mu, że w prze-

ciwieństwie do większości dziewcząt umie pływać. W pobliżu ich domku było wielkie jezioro i od najmłodszych lat, gdy tylko woda była wystarczająco ciepła, pływała w nim wraz z ojcem.

Teraz miała tylko nadzieję, że wieczorowa suknia nie będzie krępowała ruchów nóg, a mężczyźni

— co znacznie ważniejsze — nie zorientują się, iż unosząca się na wodzie dziewczyna żyje i jest przytomna.

— No to kończym z tem! — odezwał się nagle jeden.

— Dobra, dobra! — burknął drugi poirytowanym tonem. — Nie ma co tak się spieszyć.

— Oi chce już do dumu — odparł pierwszy.

— Chce na kolacje, a mamy jeszcze długa droga.

Z ich rozmowy Arina wywnioskowała, że nie płynęli wzdłuż wybrzeża przy zamku, lecz wyszli na otwarte morze, w stronę cypla stałego lądu, na terenach McNainów.

— Pierw zabierz z ji twarzy koc — polecił mężczyzna u wiosła.

Arina zeszywniała. Poczowała, jak ciężki koc, który utrudniał jej oddychanie, został zdjęty i domyślała się, że mężczyźni przyglądają się jej uważnie.

— Dali je nieprzytomna — stwierdził któryś.

— No to bierzem drugom łódź, Jock. Potem Oi ciśnie wiosła za burtę i wyciungnie szpunt.

— Ładne toto — zauważył Jock.

— To nie nasz jenteres. Niech se ryby ją we-zmo.

Jock przyciągnął drugą łódź, przywiązaną do burty tej, w której się wszyscy znajdowali. Wskoczył do niej i mężczyzna przy wiosłach skierował ich na morze. Arina poczuła walenie w burtę łodzi, w której ją położyli. Po chwili wiosłarz pomacał pod jej stopami, wyciągnął szpunt i woda natychmiast zaczęła wypełniać łódź.

— No, do domu — usłyszała szorstki głos. — Mnie sie spieszy. — Oi chce na kolacje. Wynosim sie!

Miała wrażenie, że spojrział na nią ostatni raz. Dopiero gdy usłyszała, jak odgłos dwóch par wiosł zamiera w oddali, by wreszcie ucichnąć całkiem, otworzyła oczy.

Woda podnosiła się bardzo szybko i łódź była już w połowie pełna, ale Arina nie poruszała się nadal. Zimno przenikało jej ciało. Gdy poczuła, że woda podchodzi jej do twarzy, uniosła głowę, po czym usiadła ostrożnie. Rozejrzała się. Druga łódź była już tylko małym punkcikiem w oddali. Mało prawdopodobne, by tamci ludzie mogli ją jeszcze zobaczyć. Spojrzała w stronę, z której przybyli.

Serce jej zamarło. Zamek znajdował się znacznie dalej, niż myślała. Wywieźli ją z zatoki na otwarte morze. Wiedziała jednak, że potrafi dopłynąć do brzegu. Musi tylko wykonywać spokojne ruchy

i nie dopuścić do wyczerpnia ani do przemarznięcia. Pomyślała, że jeśli zginie, matka będzie cierpiała. Sprawi również ból markizowi. Zmuszą go do małżeństwa w imię klanowego dobra, a lady Moraig z pewnością pragnie go także jako mężczyzny. Na pewno go kocha, jest przecież taki przystojny. Ale skoro jest zła i na tyle podstępna, by podjąć próbę zamordowania jej, markiz będzie z nią nieszczęśliwy. I w tym nieprawdopodobnym, nadzwyczajnym momencie Arina uświadomiła sobie, że kocha markiza. Uratował jej matkę, a teraz ona musi uratować jego. I nie tylko z powodu jego małżeństwa z kobietą taką jak lady Moraig, która pod żadnym względem nie jest tego godna. Także dlatego, że dopóki on będzie ją chciał, ona pragnie być z nim. Jeśli teraz zginie, jej miłość straci sens, bo nie zdoła mu pomóc, tak jak przyrzekła. Spojrzała znowu w stronę wybrzeża. Wydawało się jeszcze bardziej odległe niż chwilę temu. Wiedziała, że to sprawa pory dnia. Słońce zachodziło, zapadał mrok i nad ciemniejącymi wrzosowiskami zamek zdawał się okryty całunem mgieł.

— Pomóż mi, ojczy, pomóż mi! — zaczęła się znowu modlić.

Woda w łodzi poniosła się jeszcze wyżej i Arina skoczyła do morza.

ROZDZIAŁ 7

Woda była bardzo zimna. Arinie zdawało się, że płynie bez końca. Czuła, że nie może już poruszać ani nogami, ani rękami. Na moment zanurzyła się i woda zabulgotała nad jej głową

— Już... nie mogę! — dyszała. — Dalej... nie... popłynę!

Usiłowała zobaczyć, jak daleko ma do brzegu, ale w gęstniejącym mroku niewiele widziała. Znowu przymknęła oczy. Od bezpiecznego lądu dzieliły ją jeszcze całe mile i było to dla niej za daleko. Nagle wydało jej się, że słyszy głos ojca:

— Jeśli zginiesz, markiz będzie musiał poślubić lady Moraig, i to go zgubi!

Myśl o tym wwiercała się w mózg. Teraz było to jednak coś więcej niż przekonanie, że lady Moraig nie jest dla markiza odpowiednią kobietą. Arina uświadomiła sobie nagle, że zabójca, który raz ude-

rzył, może zrobić to jeszcze raz. Rozpaczliwie powtarzała, że musi go uratować. Jej głowa znów zanurzyła się w wodzie i dziewczyna straciła oddech. Nogi były jak obciążone cegłami, zmęczone ramiona nie mogły już wykonywać żadnych ruchów.

— Kocham cię — powiedziała do markiza — ale już nie mogę ci pomóc.

Zaczęła tonąć. Kolana jej otarły się o coś twardego, głowa pochyliła do przodu i twarz zagłębiła się w morski piasek. Straciła przytomność.

Obudził ją szorstki głos. Czowała, że ktoś ją ciągnie i słyszała męski krzyk. Nie rozumiała słów tego człowieka. Krzyczał i szarpał ją, a ona myślała, że to ludzie lady Moraig znowu chcą ją zabić. Potem przewrócono ją na plecy.

Pomyślała, że umiera i tak właśnie wygląda śmierć. Ponownie odpłynęła w nieprzeniknioną ciemność. Dopiero gdy ktoś podłożył jej rękę pod ramiona i unióśł głowę, wróciła do życia. Poznała od razu, czyje to dotknięcie. Serce zabiło jej gwałtownie.

Słyszała wzywający ją głos mężczyzny, a ponieważ go kochała, odwróciła głowę i wsparła na jego ramieniu. Jest tutaj, trzyma ją blisko i już jest bezpieczna!

— Jeszcze łyczek, jaśnie pani — dobiegły ją rozkazujące słowa.

— Nie... nie — zaprotestowała słabo. — To jest... okropne!

— To rozgrzeje waszą miłość. Była pani zmarznięta jak lód, gdy panią przynieśli. Już nie było jej zimno. W nogach miała jedną butelkę z gorącą wodą, z boku drugą; Chociaż były zrobione z kamienia, czuła jak ciepło wsącza się w jej ciało. Rozgrzewała również mocna whisky, którą ktoś w nią wmuszał. Przepalała gardło i rozlewała się w piersiach.

Z trudem otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą drewniany baldachim łoża, a w drugim końcu pokoju płonący na palenisku ogień. Wiedziała, gdzie się znajduje. Żyje, uratowała markiza i już nie musi więcej walczyć. Bardzo długo płynęła, ale udało się. Ponownie zamknęła oczy.

— Jaśnie pani śpi, milordzie — usłyszała głos gospodyni — ale wszystko dobrze. Bóg ją uratował.

— Myślę, że sama się uratowała — rzekł cicho markiz.

Arina chciała mu powiedzieć, że zrobiła to dla niego, ale był to dla niej zbyt wielki wysiłek. Ponownie odpłynęła w ciepło i bezpieczeństwo. W pozbawiony marzeń sen. Obudziła się z uczuciem, że spała bardzo długo, że minęła noc, a teraz jest dzień. Światło słońca

wpadało przez odsłonięte okna. Poruszyła się i czuwająca przy niej przez całą noc gospodyni natychmiast stanęła przy łóżku.

— Nie śpi już pani?

Arina skinęła tylko głową, gdyż trudno jej było wydobyć głos.

— Teraz powinna pani zjeść coś pożywnego, najlepiej jakieś mięso — rzekła szybko gospodyni. — Dobrze pani spała w nocy.

Arina poruszyła się. Chciała się przekonać, czy odzyskała władzę w zlodowaciałych do utraty czucia rękach i nogach. Gospodyni wyszła pospiesznie z pokoju, a ona podniosła wzrok na baldachim z widniejącymi na nim insygniami McDononów. Podziękowała Bogu i ojcu za to, że doprowadzili ją bezpiecznie do domu. Wspomniała lady Moraig i zadrżała. Przecież ta kobieta może spróbować jeszcze raz. Gdyby Arina zdobyła się na rozsądek i wkrótce wyjechała, przestałaby być kłopotem i ciężarem dla markiza. Mógłby nadal udawać człowieka żonatego, ale ona byłaby daleko i lady Moraig nie tropiłaby jej jak dzikie zwierzę. Książę nie nienawidziłby jej tylko za to, że jest Angielką. Jeśli jednak wyjedzie, być może nigdy więcej nie zobaczy markiza. Osłabienie i miłość sprawiły, że łzy pociekły po policzkach dziewczyny.

Arina jadła, spała, potem znowu jadła. Wreszcie poczuła się na tyle dobrze, że nie chciała dłużej po-

zostawać w łóżku. Markiz nie przyszedł jej odwiedzić i pomyślała, że wybrał się na ryby. Zapytała o to gospodynię, gdy przyszła sprawdzić, jak Arina się czuje.

— Niedługo przyjdzie, jaśnie pani — usłyszała. — Poszedł na ryby rano, bo pani wciąż spała, ale wiem, że jak tylko wróci, to przyjdzie.

Kobieta wyszła i Arina wstała, żeby przejść do toaletki i uczesać się. Spojrzała w lustro. Po przeżyciach wczorajszego dnia spodziewała się zobaczyć wymizеровaną twarz o zaostzonych rysach. Jednak wielkie oczy pełne były blasku, cera świeża, i zakłamanie z jej strony byłoby udawanie, że nie wie, jak pociągająco wygląda z włosami opadającymi na ramiona. Uspokojona nieco własnym wyglądem powróciła do łóżka. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i markiz wszedł do pokoju, nie czekając na zaproszenie.

Oczy Ariny zapłonęły na jego widok. Wciągnęła lekko powietrze. Po raz pierwszy zobaczyła go w kilcie. Nawet z prostym sporraniem i w zwykłej tweedowej marynarce ze skórzanymi guzikami wyglądał wspaniale. Podszedł do łóżka i ujął w ręce jej dłoń.

— Nie muszę pytać, czy czujesz się lepiej — powiedział. — Widzę, że tak.

— Znacznie... znacznie lepiej. Właściwie to nie powinnam być tak,, leniwa i... leżeć w łóżku.

— Musisz dbać o siebie.

Miała dziwne wrażenie, że ich usta mówią jedno, a oczy wyrażają zupełnie coś innego.

Markiz przysiadł na jej poślaniu.

— Czy czujesz się na siłach, żeby opowiedzieć mi, co się stało? — spytał.

Poczuła się zażenowana. Krępujące było mówić mu, że inna kobieta próbowała ją zamordować, bo pragnie go dla siebie.

— Nawet przez chwilę nie wierzyłem, że sama wypłynęłaś na morze — podpowiedział, jakby chcąc jej ułatwić opowiadanie.

— To byli... dwaj ludzie — odpowiedziała Arina. — Poszłam do ogrodu. Szukałam... ciebie.

Markiz siedział w milczeniu z oczami utkwionymi w jej twarzy, a ona mówiła dalej.

Opowiadała o krzyku zwierzęcia z krzewów, o tym, jak uderzono ją w głowę, i jak ocknęła się na dnie łodzi.

— Co teraz z twoją głową? — spytał markiz szybko.

— Jest tylko niewielki guz — powiedziała. — Uczesałam się szczególnie starannie, by wyglądać elegancko dla ciebie...

Przerwała. Omal nie powiedziała za dużo. Ciężko jej było zachowywać się naturalnie, gdy, markiz nie wypuszczał z rąk jej dłoni. Pod jego dotykiem miała wrażenie, jakby drobne promyki słońca przenikały przez jej ręce i dostawały się do piersi.

Wiedziała, że to miłość. Samo patrzenie na niego sprawiało, że serce jej biło jak oszalałe i bała się, że mógłby to zauważyć.

Trudno byłoby wyobrazić sobie coś bardziej dla niego poniżającego niż świadomość, że zakochała się w nim, gdy dla ratowania własnej matki podjęła się odgrywania roli jego żony. Będzie musiała bardzo uważać.

Pospiesznie, urywanym głosem zrelacjonowała wszystko, co słyszała. Gdy powtarzała, w jaki sposób mężczyźni mówili o „Jej Lordowskiej Mości”, markiz zeszywniał i zacisnął palce na jej dłoni.

Nie zatrzymując się opowiedziała, jak usunęli szpunt i odepchnęli łódź i jak potem, gdy niemal pełna wody łódka zaczęła tonąć, rzuciła się, aby płynąć z powrotem do zamku.

— Jak udało ci się przepłynąć taką odległość? — zdumiał się markiz.

— Kiedy mieszkaliśmy na wsi, pływałam z ojcem w jeziorze — wyjaśniła. — Chociaż nigdy na taką odległość... no i nie w zimnym morzu.

— Byłaś bardzo, bardzo dzielna. Nie znam kobiety równie mądrej i odważnej.

— Ja... musiałam cię... uratować — rzekła Arina bez chwili zastanowienia.

— Mnie? — zdziwił się markiz. — Nie siebie?

— To nieważne — odparła. — Wiedziałam, że jeśli umrę, ojciec zmusi cię do...
poślubienia lady Moraig, a to cię... unieszczęśliwi.

— I tym się martwiłaś? — spytał miękko.

Wstrzymała oddech. Tak bardzo chciała, żeby był szczęśliwy. Pragnęła tego bardziej niż
czegokolwiek innego. Dać mu tego nie mogła, lecz mogła wybawić go od przeżywania
nieszczęścia. Nie odpowiedziała.

— Arino — odezwał się po chwili milczenia — chcę, żebyś powiedziała mi, dlaczego moje
szczęście jest dla ciebie takie ważne.

— Jesteś... jesteś taki... dobry dla mnie, że... pragnę ci pomóc.

— Już mi pomogłaś, a gdy podniosłem cię na plaży i oparłaś mi głowę na ramieniu,
poczułem, że jesteś ze mną szczęśliwa.

Głos mężczyzny brzmiał cicho i głęboko. Dosłyszała nie znaną jej dotąd u niego błagalną
nutę i ucisnęła palce jego dłoni.

— Myślałam, że nie... żyję — wyszeptała — ale gdy mnie... dotknąłeś... wróciłam do
życia.

Markiz nie odpowiedział. Podniosła na niego wzrok. Ich oczy spotkały się i poczuła, jak
dziwne drżenie wypełnia jej ciało, niemal odbierając dech.

— Może się mylę — rzekł markiz po chwili — ale wydaje mi się, że mnie kochasz.

Wpatrywał się w jej oczy z takim naleganiem, że musiała powiedzieć prawdę.

— Tak... Kocham cię! — wyszeptała. — Kocham cię i chcę ci pomóc... Ale nie będę dla ciebie przeszkodą i gdy tylko sobie tego zażyczysz... wyjadę, jak przyrzekłam... Nie zrobię najmniejszego zamieszania.

— Nawet za tysiąc lat to się nie stanie — rzekł cicho markiz.

Schylił głowę i jego wargi spoczęły na jej ustach. Przez chwilę wydawało jej się, że to nieprawda. Potem całe ciało zaczęła przenikać ekstaza. Tak żywa, tak nasyciona, że wydawała się błyskawicą. Zupełnie jakby ofiarował jej blask słońca i nad wrzosowiskami poprowadził do nieba.

Objął ją mocno ramionami i przygarnął do siebie. Arina poczuła, że po wszystkich przejściach znalazła się nagle w niebie i wielkim bólem byłaby konieczność opuszczenia go. Takiego nieba zawsze pragnęła. Taka była miłość, którą jej rodzice darzyli się wzajemnie. I nic innego nie istniało.

— Kocham cię! — powiedział markiz unosząc głowę.

— Tak?... — odezwała się niepewnie Arina. — Tyle jest przecież pięknych kobiet, które... mógłbyś kochać.

— Te „piękne kobiety”, jak je nazywasz — rzekł z uśmiechem — zostały daleko i zapomniałem już

o nich. Kiedy zobaczyłem cię leżącą na brzegu morza i pomyślałem, że nie żyjesz, zrozumiałem, że to, co do ciebie czuję, jest zupełnie innym uczuciem od wszystkiego, co przeżywałem przedtem.

— Ty... mnie kochasz! Naprawdę mnie kochasz?

— Dużo czasu będę potrzebował, może nawet milion lat, żeby powiedzieć ci, jak bardzo!

— Nie mogę... nie mogę w to uwierzyć! Jesteś taki wspaniały, taki dobry, taki... cudowny! Uważałam cię za... posłańca od Boga, zesłanego na ratunek mamie, nie za mężczyznę, który mógłby... mnie kochać!

— Jestem mężczyzną—uśmiechnął się markiz. — Ty zaś jesteś dla mnie ponętą, piękną i bardzo podniecającą kobietą. Wielkim szczęściem jest dla mnie odnalezienie wreszcie tego, czego tak długo szukałem. Kiedy powiedziałaś mi — rzekł, przyciągając ją bliżej — że wybieramy się na wyprawę niczym Odyseusz i Jazon, podobnie jak oni zrozumiałem, czego szukam.

— Miłości? — spytała.

— Miłości! — potwierdził stanowczo. — Prawdziwej miłości, która sprawiła, że ty widziałaś we mnie rycerza.

— Bo zawsze... nim byłeś.

— Dzięki tobie stanę się nim w przyszłości. A może raczej dobrym naczelnikiem mojego klanu.

— To znaczy, że... — Anna wstrzymała oddech.

— To znaczy, że mam zamiar tu pozostać

— przerwał jej markiz. — Życie życiem, które jest mi pisane, i troszczyć się o mój lud.

Myślę, że wiesz już o tym — rzekł z ustami przy jej policzku — iż nie zrobię tego dobrze bez twojej pomocy.

— Jesteś pewien... naprawdę pewien, że... że mnie chcesz?

— Całkowicie!

— Muszę ci coś powiedzieć — oznajmiła z powagą.

— Ja też mam ci mnóstwo do powiedzenia

— przerwał jej — ale mój ojciec bardzo pragnie cię zobaczyć. Czy czujesz się na tyle dobrze, abyś mogła zejść na kolację? Potem możesz natychmiast wrócić do łóżka.

— Tak, oczywiście — skinęła głową. — Chcę być... z tobą.

Markiz nie odpowiedział, tylko pocałował ją znowu. Czowała bicie jego serca przy swoim i myślała, że najcudowniejszą rzeczą, jaką mogła sobie wyobrazić jest to, że ona mogłaby go podniecać.

Pukanie do drzwi oderwało ich od siebie.

— Cieszę się, że pani przyszła — rzekł markiz do wchodzącej gospodyni. — Pani schodzi na kolację, ale przyrzekam, że nie zatrzymamy jej zbyt długo.

— Żeby tylko się nie przemęczyła, panie Alistairze.

— Będę uważał, bo gdyby do tego doszło — zaśmiał się markiz — z pewnością nakrzyczałaby pani na mnie jak wtedy, gdy darłem ubrania czy kradłem jabłka z salonu. Nie czekając na odpowiedź wyszedł do sąsiedniej gotowalni.

— Zawsze był pan strasznym urwisem! — krzyknęła w ślad za nim kobieta.

Pomagając Arinie przy toalecie, opowiadała

o eskapadach markiza -w czasach jego wczesnej młodości. Marzyło jej się, żeby miał kiedyś syna, który podobnie jak ojciec psociłby w wielkim zamku, doskonałym miejscu zabaw dla dzieci.

Dopiero pod koniec tych opowieści Arina zauważyła, że gospodyni przygotowała jej prześliczną suknię, w której wyglądała jak panna młoda. Nigdy jej przedtem nie widziała, ponieważ była wśród rzeczy, które przysłano w ostatniej chwili przed ich wyjazdem do Tilbury. Pomyślała, że markizowi może wydawać się przesadnie wystrojona. Gdy jednak pojawił się w drzwiach, z wyrazu jego oczu

1 twarzy domyśliła się, że wygląda ślicznie.

Markiz był równie elegancki jak ona. W wieczorowym stroju z koronkowym żabotem pod szyją i srebrnymi guzikami marynarki wypolerowanymi tak, że jaśniały jak klejnoty, był wprost olśniewają

cy. Żaden mężczyzna nie mógł być tak przystojny i tak pociągający. Jego sprrnan kunsztowną robotą dorównywał sprranowi księcia.

— Wyglądasz prześlicznie i bardzo cię kocham — rzekł markiz, gdy wyszli z pokoju.

Arina wsunęła rękę w jego dłoń.

— Ja zaś próbuję znaleźć właściwe słowa, by powiedzieć ci, jak wspaniale prezentujesz się... w kilcie.

— Cudownie, że oboje potrafimy się sobą zachwycać — uśmiechnął się markiz. — Inaczej byłbym zazdrosny.

Arina roześmiała się lekko.

— Mam nadzieję, że nie będziesz... ale też nie będziesz miał wątpliwości co do moich uczuć.

Wejście służącego z listami na srebrnej tacy przerwało ich rozmowę. Markiz wziął listy bez większego zainteresowania i dopiero w pustej bawialni otworzył jeden i zaczął czytać. Arina stała przed kominkiem i oglądała wysoki pokój. Było tu zupełnie inaczej niż na południu. Wykute w kamieniu okna miały rombowne szybki, całe ściany obwieszane były portretami dawnych naczelników klanu. Część mebli przywieziona została z Francji i Arina wiedziała, że pochodzą z czasów, gdy za sprawą królowej Marii w Szkocji dominowały francuskie wpływy.

Markiz podniósł głowę znad listu.

— Mam dla ciebie dobre wiadomości, kochanie. Kiedy zleciłem mojemu londyńskiemu sekretarzowi zapłacenie chirurgowi twojej matki należnych mu stu funtów, powiedziałem mu również, że natychmiast chcę znać rezultaty operacji. Informacje miał przysyłać bezpośrednio do mnie, na wypadek gdyby wiadomości były niepomyślne.

— Czy mama... dobrze się czuje?

— Operacja zakończyła się pełnym sukcesem. Twoja matka dochodzi do zdrowia znacznie szybciej, niż lekarz się spodziewał.

Arina złożyła ręce, cicho krzyknęła uszczęśliwiona i rzuciła się markizowi na szyję.

— A wszystko to dzięki tobie! Gdybyś nie dał nam... pieniędzy, mama by... umarła.

Głos dziewczyny załamał się, a w oczach ukazały się łzy. Markiz przytulił ją mocno.

— Tak się cieszę, tak się cieszę, kochanie moje.

— Na pewno papa przysłał cię do nas i teraz mama... dojdzie do siebie... Może nawet... znowu znajdzie swe szczęście.

— Postaramy się o to — przyrzekł jej markiz.

Nie mogła nic odpowiedzieć, gdyż w progu stanął książę. Speszona, że zobaczył ją w objęciach markiza, odsunęła się i złożyła ukłon.

— Lepiej się czujesz? — spytał książę uprzejmiej niż zwykle tonem.

— Tak, dziękuję, wasza miłość, znacznie lepiej.

— Dowiedziałem się, że byłaś bardzo dzielna. Za drzwiami czeka człowiek — mówił, nie zwracając uwagi na jej odpowiedź — który cię znalazł, gdy dotarłaś do brzegu. Jest stary, ale oczy ma wystarczająco bystre, by dostrzec, jak upadłaś na płyciźnie. Leżałaś twarzą do-ziemi i gdyby nie wyciągnął cię na suchy ląd, utopiłabyś się. Powiedziałem Malcolmowi McDononowi, by tu przyszedł, tak że możesz mu sama podziękować — dodał książkę.

— Tak, oczywiście. Zrobię to z przyjemnością. Wyszli za księciem z pokoju i przy schodach

zobaczyli starego człowieka z siwą brodą. Czekał kręcąc nerwowo beretem. Na widok księcia na znak szacunku uniósł rękę do czoła.

— Przeprowadziłem markizę, żeby się z tobą zobaczyła, Malcolm — rzekł książkę powoli.

— Powiedziałem jej, że to twoje bystre oczy podchodzącego zwierzynę myśliwego dostrzegły ją na plaży i uratowały jej życie.

Stary człowiek wymamrotał coś niewyraźnie i książkę odwrócił się do Ariny.

— Zrozumie, jeśli będziesz mówiła powoli, sam jednak mówi tylko po celtycku.

Arina uniosła rękę i Malcolm McDonon powiedział, że bardzo się cieszy, iż mógł jej usłużyć.

— *Tapadh Leat Tha Mi GU Thaiwgeal* — odpowiedziała natychmiast Arina, która zrozumiała celtyckie słowa.

Twarz starego człowieka rozjaśniła się radością. Zaskoczenie księcia i markiza było absolutne. Po chwili ciszy książę wręczył Malcolmowi McDononowi sakiewkę z pieniędzmi. Stary podziękował po celtycku i gdy ruszył schodami w dół, książę popatrzył na Arinę badawczo.

— Mówisz po celtycku? — spytał ostro.

— Tak... trochę.

— Kto cię nauczył?

— Moja matka — odparła po chwili wahania.

— A skąd twoja matka umie?

— Jest... Szkotką — rzekła Arina cicho, wyraźnie speszona.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — nie mógł opanować ciekawości markiz.

Podniosła na niego wzrok.

— Bałam się, że... będziesz się gniewał.

— Gniewać się? Dlaczego miałbym się gniewać? Kim jest twoja matka? — pytał dociekliwie.

Wyciągnęła rękę, jakby chciała się go przytrzymać, po czym rozłożyła je bezradnie.

— Moja matka — odpowiedziała z wahaniem — jest z domu... McNain.

— McNain? — wykrzyknął książę. — Dlaczego mi o tym nie powiedziano? Dlaczego trzymałaś to w takiej tajemnicy?

— Uciekła z moim ojcem, a ponieważ był Anglikiem — zaczęła tłumaczyć księciu, jakby łatwiej jej było mówić do niego, aniżeli do markiza — dziadek, który był... naczelnikiem klanu McNainów, wpadł we wściekłość i nie chciał mieć... z nią więcej... nic wspólnego. Książę wpatrywał się w Arinę i widać było, że z trudem wierzy w to, co słyszy.

— Chodźcie do salonu — polecił.

Chodziło mu o służbę, która u podnóża schodów słyszała ich rozmowę.

Książę ruszył przodem, Arina zaś poszła za nim posłusznie. Markiz ujął jej rękę. Czowała, że nie jest na nią zagniewany, lecz wspiera ją i darzy uczuciem.

Z uniesioną głową spokojnie i wyraźnie przedłożyła księciu wyjaśnienia, na które czekał.

— Chociaż mama czuła się głęboko zraniona gniewem dziadka i wydziedziczeniem jej z powodu małżeństwa z Anglikiem, byli z papą tak szczęśliwi, że nie miało to dla nich znaczenia.

— Czy twój dziadek to lord Bain? — spytał szorstko książę.

— Tak, wasza miłość, ale po swej ucieczce mama nigdy nie używała tego... tytułu.

— Był dobrym naczelnikiem klanu — stwierdził książę — lecz nienawidził nas niemal równie mocno jak Anglików!

Markiz roześmiał się.

— Jak daleko sięgam pamięcią, takie było nastawienie wszystkich McNainów. Ojczy, co masz zamiar przedsięwziąć w sprawie lady Moraig?

Książę zacisnął wargi.

— Sprawą zajmie się starszyzna klanu. Zostanie skazana na banicję.

— Na pewno?

— Kiedy powiem naczelnikowi McNainów, co się stało, karę poniesie ona i ci, co wypełniali jej rozkazy. Lady Moraig jest przyrodną siostrą obecnego hrabiego — wyjaśnił książę — i nigdy za sobą nie przepadali. On jednak jako naczelnik pragnie, żeby między naszymi ludźmi zapanował pokój. Teraz problem został już rozwiązany, Alistairze, gdyż twoja żona jest kobietą z klanu McNainów. Pewien też jestem, że ucieszy się, gdy jego siostra, matka Ariny, wróci do rodzinnego domu.

— Naprawdę książę myśli, że to możliwe? — wykrzyknęła Arina. — Wiem, że mama będzie bardzo szczęśliwa, gdyż po śmierci papy często mówiła o swej tęsknocie za rodziną.

— To właśnie spełnimy, gdy będzie się na tyle dobrze czuła, aby udać się w podróż — rzekł cicho markiz.

Uszczęśliwiona Anna przycisnęła policzek do ramienia markiza, jakby zapomniała o obecności księcia.

— Wiesz, ojczy — rzekł markiz rozbawionym głosem — po swoich karygodnych czynach i latach, które w twojej ocenie spędziłem w dziczy, zrobiłem najwłaściwsze posunięcie wracając tu i przywożąc ci to, czego zupełnie nie oczekiwałeś. Żonę, jakiej dla mnie chciałeś.

Słowa już nie były potrzebne. Księżę złożył ręce na ramionach syna bardzo wymownym gestem.

Kolacja przeciągnęła się, gdyż byli goście. Pod koniec posiłku kobziarz przygrywający przy stole zagrał dwie melodie dla uczczenia ocalenia Ariny od śmierci. Dziewczyna nie czuła się zmęczona, jednak natychmiast po kolacji poszła do łóżka. Pani McDonon pomogła jej się rozebrać i zapaliła świecę. Na kominku płonęła wielka szczapa.

— Dzisiejszej nocy dmie ostry wiatr od morza

— powiedziała gospodyni, wyglądając przez okno.

— Cud by był, gdyby pani po tym wszystkim nie chwyciła przeziębienia.

Arina nie odpowiedziała. Wsparta na poduszce rozkoszowała się ciepłem i wygodą. Była szczęśliwa. Miała wrażenie, że maleńkie płomyki z ogniska wnikają w jej ciało. Czekwała.

Nie upłynęło pół godziny, gdy drzwi otworzyły się. Markiz zmienił szkocki strój na długi aksamitny szlafrok. Arina po raz pierwszy zobaczyła go tak ubranego. Wyglądał doskonale.

Kiedy podszedł do łóżka, dostrzegła dziwne światło w jego oczach. Mimo mocnego zawstydzienia poczuła płomień podniecenia. Wyciągnęła do niego ręce.

— Byłam pewna, że przyjdiesz, by mi... powiedzieć dobranoc — rzekła zdławionym głosem.

Przysiadł obok niej, tak jak wcześniej tego dnia.

— Życzyć ci dobrej nocy? — zdziwił się. — Chyba o czymś zapomniałaś, kochanie.

— O czym... zapomniałam? — spytała zdziwiona. — Wiem tylko, że... wciąż powinnam ci dziękować.

— Podziękowałaś mi już wystarczająco.

— O czym więc... zapomniałam?

— Że jesteśmy małżeństwem! — rzekł markiz. Arina spuściła oczy.

— Powiedziałeś, że to tylko... rola.

— Powiedziałem tak, kiedy postępowałem jak Anglik. Nasz kontrakt także jest angielski.

W Szkocji, gdy w obecności świadków oświadczymy, że jesteśmy mężem i żoną, prawnie jesteśmy sobie poślubieni.

Dla Ariny każde jego słowo było niczym wznoszący się do nieba wybuch radości.

— Napisałem już dziś do Edynburga o wprowadzenie do rejestru naszego małżeństwa — dodał.

— Jesteś... pewien? Całkowicie pewien... że tego właśnie chcesz? — spytała Arina, dla której było to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

— Absolutnie — odparł. — Tego właśnie pragnę! Jesteś moja, Arino. Jesteś moją żoną teraz i na zawsze i nigdy nie pozwolę ci odejść! Wiesz, jak bardzo cię pragnę — zaczął po chwili przerwy.

— Nie tylko ciałem, ale sercem, duszą i rozumem. Przeszłaś jednak straszliwe doświadczenia, więc jeśli chcesz, powiem ci tylko dobranoc i zostawię, byś mogła odpocząć.

Tylko marzyciel i rycerz, za jakiego go uważała, mógł być tak wyrozumiały. Ale że nie znalazła słów, by to powiedzieć, zarzuciła mu rękę na szyję i przyciągnęła do siebie... Ogień był już tylko złotawym blaskiem, płomienie przygasły.

— Chciałbym znać słowa — rzekł markiz

— którymi mógłbym wyrazić, co znaczy dla mnie być tu z tobą. W moim własnym domu, na mojej własnej ziemi, w otoczeniu kochających i szanujących mnie ludzi, którym będę służył do końca moich dni.

— Bardzo chciałam, byś tak właśnie myślał

— powiedziała Arina.

Przyciągnął ją bliżej. Dopiero miękkość jej ciała dała mu świadomość, że styka się z ideałem, jakiego zawsze szukał w kobiecie.

— W jaki sposób zdobyłem to szczęście, że cię znalazłem? — spytał.

— Na pewno pomyślisz, że dziwne jest to, co powiem, ale to papa pomógł mi, kiedy byłem taka zrozpaczona. Wysłał mnie najpierw do lady Bever-ley i w cudowny sposób sprawił, że wysłuchałeś naszej rozmowy. — Zamilkła na chwilę. — Tylko człowiek prawdziwej dobroci — dodała — mógł mi pomóc, jak ty to uczyniłeś.

— Kochanie, to nie tylko twój ojciec, ale twoje modlitwy powiedziały mi, co mam robić. Pomyślał, jak niecodziennie w jego ustach brzmią te słowa i jak dziwne jest, że on w nie wierzy. Od chwili powrotu do zamku znikł wyniosły cynizm, którym kierował się w rozmowach z klubowymi przyjaciółmi oraz kobietami przelotnie pojawiającymi się w jego życiu. W Szkocji jest miejsce tylko na uczciwość. Wiedział, że Arina pewna była, iż piękno zamku i wrzosowisk uszlachetnią go. I tak też się stało.

Po raz pierwszy zrozumiał ojca, jego pragnienie wielkości nie tylko dla klanu, ale również dla całej Szkocji.

Odwrócił głowę, żeby w świetle dogasającego ognia popatrzeć na Arinę. Żadna kobieta nie mogła-

by wyglądać ładniej i równać się z nią uduchowieniem. Była inna od każdej z tych, które kiedykolwiek znał. Widział jej uwielbienie i przysiągł sobie, że nigdy jej nie zawiedzie. Złożył solenne przyrzeczenie, że w przyszłości żyć będzie zgodnie z jej ideałami. Obsuwająca się szczapa podsyciła na chwilę ogień, który oświetlił ich twarze. Spojrzeli na siebie i instynkt popchnął ich ku sobie.

— Kocham cię — powiedział mężczyzna.

— Nie wiedziałam, że miłość jest taka cudowna... Mam wrażenie, jakbyśmy żeglowali razem przez gwiazdy do... nieba, gdzie istnieje tylko... miłość.

— Czy to właśnie czujesz dzięki mnie? — spytał, muskając wargami jej policzek.

— To, i wiele innych rzeczy. Ale jak mam ubrać w słowa... tę ekstazę?

— Skarbie mój! — wykrzyknął.

— Czy jesteś ze mną... szczęśliwy?

— Tak bardzo, że wprost słów mi brak. To ekstaza, a zarazem bardzo ludzkie uczucie.

Wiem, że mogę cię dotknąć i że jesteś moja. Nie tylko jako kobieta, ale jako część mojej krwi.

— Bo jestem Szkotką.

— Tak jak ja i nasze dzieci, a potem ich dzieci. Jak mogłem kiedykolwiek pomyśleć — rzekł po chwili milczenia — by uciec ze Szkocji? Jak mógłby

to zrobić człowiek tu urodzony, wszak w jego krwi jest siła, która wznosi ku nieskończoności.

— Tak właśnie... ja czuję— rzekła Arina z zapartym tchem.

— Czujemy tak samo i jesteśmy tacy sami — powiedział markiz. — Jesteśmy jedną istotą, kochanie moje.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła do siebie. Czowała, że płomienie ogarniają ich jak drewno na ogniu. Byli w ekstazie, a w ich uczuciach było tyleż bólu, co rozkoszy.

— Pragnę cię — powiedział markiz.

— Kocham cię! — odparła Arina. — Ukochany mój, proszę cię... kochaj mnie... uczyn mnie... swoją... chciałabym, abyśmy stali się... tak jak powiedziałeś... jedną istotą.

Wargi mężczyzny spoczęły na jej ustach i poczuła bicie jego serca. Niósł ją wysoko nad wrzosowiskami i razem weszli do niebios, gdzie panuje jedyna, wiekuista miłość.